



## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośzeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10

**Adres:** Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

**Administracja** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę** przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**T R E S Ć:** *Polityka:* Objawy przełomu. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Oksana, szkic sielankowy, p. Włodzimierza Wysockiego. — *Życie społeczne:* Wyludnianie się Francji, p. Lud. Krz. — Z Poznańskiego, p. t. z. — *Badania naukowe:* Językoznawstwo, p. J. F. Gajslera. — Tymczasowe doniesienie Kocha. — *Literatura i sztuka:* Literatura francuska, p. L. W. — Literatura niemiecka, p. Ładawę. — *Fejleton:* Liberum veto, p. Posia Prawdy. — Zdała, p. Z. Atanazego. — Unikat literacki, p. A. Ś. — Kronika. — Ogłoszenia.

Oprócz **Psychologii dziecka** i **Encyklopedyi dla dzieci**, które to książki wkrótce wyjdą, na początku roku przyszłego do wydawnictw naszych, bądź w dodatku, bądź osobno, wejdą: K. Letourneau **Rozwój moralności** i J. Brandesa **Młode Niemcy** (VI tom „Głównych prądów literatury“ XIX w.).

### POLITYKA.

#### OBJAWY PRZEŁOMU.

Gdyby normy życia polityczno-ekonomicznego tkwiły w nim mechanicznie i nie obrastały ciałem, usunięcie ich zależałoby tylko od osiągniętych doświadczeń i dobrej woli. Ale niestety, tak nie jest. Państwo nie wprawia sobie sztucznych zębów, które może każdej chwili wyjąć i zastąpić nowymi, gdyż każda, nawet najniepotrzebniejsza kostka wkrótce spaja się z całym jego szkieletem. Reformy Bismarka w Niemczech okazały się dla nich szkodliwe, ale tak głęboko sięgnęły w organizm narodu, że dziś trudno je z niego usunąć bez ciężkich naruszeń ustroju. Trudność ta zachodzi głównie w systemie podatkowym i celnym, według którego długo odbywał się rozwój ekonomiczny państwa, układały się jego stosunki zewnętrzne i wewnętrzne. Niepodobna więc dziś dokonać przemiany bez wstrząśnięć i — że tak powiemy — skaleczeń. Od czasu, jak zaczęto o tym zuchwałym egoiście mówić szczerze, nikt już dziś nie tai, że on ze swoich osobistych interesów brał miarę na krój gospodarki ekonomicznej. Był właścicielem wielkich obszarów ziemi i lasów, producentem zboża, hodowcą bydła i trzody chlewnej, więc opodatkował zboże, drzewo i mięso. Skoro rząd na te ciężary przestał patrzeć jego

oczami, a zwłaszcza skoro na nie spojrzal oczami obecnego cesarza, straciły one swoją zasadność, a nawet ukazały swoją niesprawiedliwość. Dostrzeżono w nich uprzywilejowany interes jednej klasy społecznej kosztem innych, niemal wszystkich, oraz krzywdę warstw najbiedniejszych, już samymi brzemionami życia nadmiernie obciążonych. Cesarz Wilhelm, występując jako patron biednej, z dóbr tego świata wydziedziczonej masy, nie mógł pominąć tak ważnego warunku jej bytu, jak opodatkowanie najniezbędniejszych artykułów żywności — chleba, mięsa i drzewa. Zaczął więc szukać sposobów zdjęcia tego ciężaru w unii z Austro-Węgrami, w usuwaniu z grona swych doradców ludzi nasiąkłych duchem Bismarkowskiego protekcyjizmu, w powoływaniu nowych, wreszcie w obmyślaniu projektów prawodawczych, które by pozwoliły ubytek dochodów ze złagodzenia tariff celnych pokryć wpływami z innych źródeł. Związek ekonomiczny z Austrią płacze się dotychczas na jej interesach i stosunkach z państwami ościennymi; nowi ministrowie nie postavili jeszcze jajka Kolumbowego; dotąd mniej widzimy usiłowań i rozmyślań, niż czynów dokonanych; nie ulega jednak wątpliwości, że Niemcy wchodzi w odmienną od dotychczasowej epokę polityki ekonomicznej, której głównem znamieniem będzie złagodzenie protekcyjizmu wobec produktów najniezbędniejszych, potrzebnych do życia najniższym warstwom ludności. Wybory do kongresu amerykańskiego zmniejszyły dla Europy grozę następstw bilu Mac Kinleya, ale nie zażegnały ich w najbliższej przyszłości, a nawet nie wyłączyły zupełnie z dalszej. Zainteresowana więc w tej sprawie Francja zamierza przekształcić swoje tariffy celne i ubezpieczyć się od szkód. Przedmiot ten stanął jako główny na porządku dziennym jej zadań ustawodawczych.

Anglia, jak wytrawny kupiec, czeka i obserwuje, co inni robią, ażeby do zmienionych warunków dopasować swoje gospodarstwo. Skoro więc tylko w między-

narodowym handlu europejskim nastąpią zmiany taryfowe, wyciągnie ona z nich dla siebie wnioski praktyczne.

Crispi, który prawdopodobnie z Caprivi nie radził nad wypowiedzeniem wojny, lecz nad obroną i napełnieniem kieszeni, zapowiedział szereg reform w polityce ekonomicznej Włoch.

Drobne państewka południowo-wschodnie mówią również o zmianie swych traktatów handlowych.

Wreszcie Rosya, jak wiadomo, oddawna w osobnej komisji pracuje nad ułożeniem odmiennych ram taryfowych. Z tymczasowem podniesieniem cła wchodowego o 20% połączyła ona zapowiedź ogłoszenia nowego systemu polityki celnej, który ma być wygotowanym w połowie roku przyszłego.

W całej tedy Europie odbywa się praca nad przeistoczeniem warunków handlu międzynarodowego. Myśl o wojnie ustąpiła miejsca myśli o ubezpieczeniu interesów materialnych. Nie potrzebujemy zapewniać, że rezultaty tych rozmyślań, usiłowań i zarządzeń będą miały dla całego świata cywilizowanego olbrzymie i daleko sięgające znaczenie, dalej, niż wyniki wielu starć orężnych. Oddziałają one na bieg życia wszystkich społeczeństw, gdyż nie ma tak odosobnionego, któreby w najdrobniejszych potrzebach nie odczuwało zmian i przełomów ekonomicznych. Jeżeli przeto znaki zewnętrzne nie mylą, lub jeżeli wzniecony ruch nie osłabnie, lub nie zwróci się w innym kierunku, „zbrojny pokój“ zawrze w swych dziejach bardzo ważną epokę rozwoju ekonomicznego.

### TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Król pruski już zapowiedział, a cesarz niemiecki niedługo zapowie szereg zmian, dość głęboko sięgających w życie spo-



czne. Chodzi mianowicie o reformę szkolną i podatkową. Jeszcze w r. 1889 (a więc łącznie z Bismarkiem) Wilhelm II w rozkazie gabinetowym nakreślił plan nowego kierunku ukształcenia publicznego, zwrócone go głównie przeciw dążeniom socjalistycznym. Według niego szkoła powinna stać się, niż dotychczas, szczepli w wychowawcach bojaźń bożą, miłość dla ojczyzny i wdzięczność dla dynastji, która dała narodowi wiele dobrodziejstw i zwłaszcza troszczyła się o dobro robotników. A zatem należy: w nauce religji wzmocnić stronę etyczną, do historyi ojczystej włączyć rozwój ekonomiczno-społeczny ze szczególnem uwzględnieniem zasług królów pruskich; przekonywać młodzież, że w przyszłości robotnicy mogą się spodziewać sprawiedliwości i bezpieczeństwa tylko pod opieką króla, który mądrymi rządami zapewni również pomyślność całego narodu. Dla podjęcia tego zadania powinni być odpowiednio przygotowani nauczyciele ludowi, do czego niezbędną jest również reforma seminariów nauczycielskich. Zbudowany na podstawie tych życzeń królewskich projekt prawodawczy wniesiony został do sejmu. Wkrótce więc Wilhelm II przekona się, o ile jego zasady społeczno-pedagogiczne znajdują odgłos w narodzie.

Co do reformy podatkowej, będzie ona polem popisu i pierwszego występu Miquela, nowego ministra skarbu. Cesarz spodziewa się bardzo wiele po tym — jak go nazwał — „swoim człowieku,” przedewszystkiem zaś ma nadzieję, że przez umiejętniejszy rozkład podatków minister zdoła otworzyć nowe dla nich źródła. Główny nacisk położony będzie na podatek dochodowy i spadkowy.

Minister rolnictwa, Lucius, krewniak Bismarka i zwolennik cel ochronnych w interesie rolnictwa, otrzymał dymisyę. Wysnutym z tego faktu domysłem można się ludzi i przypuszczać, że cła te zostaną zniesione lub złagodzone — co dla robotników naszych byłoby wielką korzyścią — gdyby następca Luciusa — Heyden-Kartlow nie należał również, o co go posadzają, do protekcyjnistów tej samej marki. Jest to osobistość mało znana, przeszedł karierę czysto urzędniczą — nie więc pewnego o nim powiedzieć nie można.

Crispi po widzeniu się z Caprivim nie przestaje wygłaszać „wielkich mów,” ale za to świat już przestaje nimi się zajmować, zwłaszcza że te występy ministra włoskiego dotyczą głównie nadechodzących wyborów. Obiecuje on rozwijać najpilniejsze kwestye społeczne, poprawić finanse kraju i dół robotników, słowem trzyma w rękę

róg obfitości, z którego wysypuje obietnice, ale po wyborach nie napelni go czynami.

W jednym z hotelów paryskich znaleziono zabitego generała Seliwerstofa, którego mordercą ma być — według Agencji Havasa — jakiś, dotąd nieschwytyany wychodźca ruski. Do rozjaśnienia tajemnicy władze francuskie zabrały się energicznie.

Giełdami całego świata finansowego wstrząsnął nieoczekiwany upadek londyńskiej firmy Baring Brothers, rozporządzającej olbrzymimi środkami i stanowiącej jedną z potęg giełdowych. Przyczyną bankructwa, które już osiąga miliardów, miała być podobno niewypłacalność Argentyny, której skarbem był dom Baringów. Bogacze europejscy łącznie z Bankiem angielskim usiłują jeszcze podeprzeć upadającego towarzysza i może go utrzymają na nogach, do dawnej wszelkiej mocy i świetności już on nie wróci. *Haute finance* ma dosyć czułości na to, ażeby bankruta ze swojej sfery ratować, ale za mało na to, ażeby ocalonego na dawnym poziomie utrzymać. Niech żyje — ale niższy i słabszy.

Królowa Emma złożyła już przysięgę jako regentka Holandji, a ks. Nassauski — jako regent Luksemburga, obłąkany zaś Wilhelm pomnożył liczbę królów nominalnych, ubezwłasnowolnionych bądź, jak bawarski, skutkiem choroby, bądź, jak hispański i serbski, skutkiem małoletności.

W łonie rządu serbskiego wybuchnął zatarg, który prawdopodobnie sprowadzi zmiany osobiste.

Stambułow, faktyczny rządca Bułgarii, jest chory i potrzebuje wyjechać na odpoczynek. Czy chory i czy na odpoczynek.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### WYLUDNIANIE SIĘ FRANCJI.

Jeśli zatrzymamy się nad demografią Francji, dwa jaskrawe szczegóły od razu rzucą się w oczy: z jednej strony bezustanne spadanie stopy rocznego przyrostu ludności, z drugiej zaś niesłychane wzmaganie się procentu obcokrajowców. Mianowicie przyrost ludności, który w r. 1821 wynosił 5.4 na każdy tysiąc mieszkańców, w r. 1861 poniżył się już do 3.7, w r. 1881 spadł do 2.5, wreszcie obecnie nie przewyższa prawdopodobnie 1.5. Znaczenie tych cyfr pojmiemy, porównawszy je z odpowie-

dniemi danemi, przedstawiającemi przyrost ludności w innych krajach. Otóż w okresie mniej więcej 1860—1880 przybytek roczny w Danii wynosił 10,13; w W. Brytanii 9,33; w Niemczech 8,42; w Belgii 8,38; w Austrii 7,69; we Włoszech 6,39; w Szwajcaryi 6,2. Są to liczby olbrzymie w porównaniu z francuskimi. Dodajmy do tego, że niemal cały ten przyrost zostaje przywłaszczony przez miasta, nadewszystko Paryż, że w niektórych departamentach ludność nie tylko nie wzrasta, lecz zmniejsza się, a otrzymamy wtedy całosć obrazu. Natomiast procent obcokrajowców podnosi się stale: na 1000 francuzów przypadało w r. 1851 około 10, w 1861 już 13, w 1881 do 26 i wreszcie w 1886 aż 30 przybyszów. Ze stanowiska ideałów ligi patryotycznej Derouléde, a takie położenie rzeczy jest istotnie zatrważające. Niemcy np. wzrastają kilkakrotnie szybciej i po paru pokoleniach zwyciężą Francję swoją liczebnością; kiedy bowiem podwoją cyfrę swoich współobywateli, ta ostatnia zaledwie odbiegnie nieco od dzisiejszego swego poziomu. Niedosć tego. Nieludne społeczeństwa są z góry skazane na rolę kopciuszków w chorze cywilizacyjnym. Tymczasem kiedy, za jakieś 5 pokoleń, językami angielskim lub niemieckim będą mówiły setki, francuskiego używać będą zaledwie dziesiątki milionów i Francya samymi warunkami zaludnienia zepchnięta zostanie do bardzo podrzędnego znaczenia w dalszym rozwoju kultury. Słowem, bezustanne zmniejszanie się przyrostu ludności jest sprawą, o której patryota francuski bezwarunkowo nie będzie i nie może rozprawiać spokojnie. I ilekroć jakaś praca w tej mierze wpada mi do rąk, nigdy nie posiadała charakteru przedmiotowego. Zawsze, nawet pod maską największej bezamiętności naukowej, ukazywała się w głębi zaniepokojona myśl patryoty: „Co będzie z nami, francuzami?” Niekiedy wyłazi jeszcze jaskrawszy dodatek: „Za lat 50—100 Niemcy zarzucą nas czapkami...” Naturalnie, obawa ta jest przewybornym gruntem dla rozwoju różnych zaściankowych samolubstw i szowinizmów. Zresztą mniejsza o to. Czasami zdarza się, że cała niby uczona rozprawa jest w gruncie rzeczy jedynie publicystycznym kazaniem. Właśnie mamy przed sobą względnie świeżą pracę A. Dumonta *Wyludnienie a cywilizacja* \*). Książka ta ukazała się w *Bibliotece antropologicznej*. Zachęćmy firmą, a nadto znając autora z poszukiwań umieszczanych w *Prze-*

\*) *Dépopulation et Civilisation, étude démographique*, 1890.

1)

## OKSANA

SZKIC SIELANKOWY,

napisał

Włodzimierz Wysocki.

Al. Świętochowskiemu \*)

Autor.

### Prolog.

Kiedy słońce błysnie jaśniej,  
Odchyliwszy ze swej skroni  
Szmata mgieł — a nieba lazur  
Z poza szarych chmur odsłoni;  
Kiedy wionie wiatr wiosenny,  
Kiedy topnieć śnieg poczyna,  
Gdy powłoka jego biała  
Już się staje trupio-sina

\*) Dopełnienie tej dedykacji — szanowny jej autor pozwolił nam pozostawić tylko w rękopisie, jako miłą i zaszczytną pamiątkę.

I spłaszczywszy się, strugami  
Jako węże syczącemi,  
Pocnie zmykać, odsłaniając  
Tu i owdzie łono ziemi;  
Wtedy w myślach, wtedy w sercu  
Coś się zbudzi, zatrzepoce  
I świaćka jakieś zalśni  
W dawnych wspomnień mych pomroce.  
Wtedy staje w mej pamięci  
Pełna czarów i uroku  
Jedna wiosna... Taką wiosnę  
Miałem tylko w jednym roku.  
Nigdy potem nie witało  
Serca mego żywsze tętno  
Żadnej wiosny — jak tę jedną,  
Tę nazawsze mi pamiętną!  
Wiosno owa! gdzie te kwiaty,  
Co pod tchnieniem twem ożyły?  
Gdzie nadzieje te, któremi  
Drżały serca, wrzały żyły?  
Wiosno! wiosno! gdzie te wody,  
Co szumiały wówczas głośno?  
W jakie morze popłynęły,  
W jaki kraj uciekły, wiosno!  
I dziś oto tają śniegi

Wartkim prądem szumią w strudze,  
Lecz te szumy jakieś inne:  
Niby głuche, niby cudze...  
I dziś także pieśń wiosnianą  
Wracające dzwonią ptaki,  
Ale pieśń ta dla mnie smutna,  
Ale śpiew ich już nie taki...  
Sny cudowne, sny tęczowe,  
Porankowe jasne życie!  
Was wspominam, dnie młodości  
Was, co nigdy nie wrócicie,  
Nie wrócicie, choć stajecie  
Często w duszy mej przytomne,  
Wtedy czar wasz mię ogarnia,  
Że zamarzę się — zapomnę:  
Oto stał śnieg na dachu,  
Woda z szumem leci z rynny,  
A mnie zdaje się, że słyszę  
Szumy rzeki mej rodzinnej  
I że widzę, jak Teterów  
Niezwyczajnej prądem siły  
Na falistym niesie grzbiecie  
Rozpekane lodu bryły;  
Kiedy bryłę taką chwyci  
I o drugą ją uderzy —



głódzie naukowym, przeczytaliśmy dzieło Dumonta, sądząc, że znajdziemy w niem wyczerpujące a przedmiotowe przedstawienie pewnych faktów społecznych. Tymczasem spotkaliśmy się przeważnie z szermierką publicystyczną. Nie uważamy tego naturalnie za jakąś wadę, niejedną bowiem praca publicystyczna bywa głębszą i posiada większą wartość, niż ten lub inny traktat naukowy, lecz jedynie notujemy fakt dla uwydatnienia stanu rzeczy. W każdym razie autor zabrał się do swej pracy sumiennie. Po kilka miesięcy rocznie spędzał w okolicach, gdzie ludność wzrasta lub ubywa najsilniej, badał materyał piśmienny, studyował poglądy i wyjaśnienia u żywych ludzi. Lecz kiedy przyszło do zdania sprawy z wyników badania, uczony zniknął, pozostał tylko francuz. „Dzielnosc wojenna i ślepa a płodna miłość — są to dwie czynności bohaterskie, które spełniając jednostka pozbywa się samolubstwa i poświęca się dla rasy. Nie ma miejsca w historii dla narodu bez własnej indywidualności, ani też takiej indywidualności jeśli naród składa się z nagromadzenia niespojonych żywiołów, przyniesionych falą migracyjną... Kolonizacya Oceanii, zdobycie i opanowanie Azji i Afryki, takie zadania tegoczesność wysuwa przed ludami europejskimi. Ich znaczenie w przyszłych dziejach ludzkości będzie zależne od udziału, jaki przyjmą w spełnieniu tego zadania. Cóż zdoła jednak zrobić na tem polu naród bezpłodny?.. Naród powinien być dostatecznie ludny i silny, aby obronić siebie z orężem w ręku i w razie potrzeby wypowiedzieć zwycięską wojnę drugiemu. Jeszcze bardziej żywiołową koniecznością jest to, aby kraj posiadał zawsze zaludnienie wystarczające gestę, które zrównoważyło by siły sąsiadów tak, iż zbytęcną byłaby obawa najazdu lub wciskania zwycięzkiego. Niestety, Francya dzisiejsza zgola nie odpowiada tym warunkom...”

Wyjeliśmy kilka ustępów z całości, która obfituje w podobne wylewy uczucia. Między innemi, być może, w tem stanowisku należy szukać niechęci autora dla ekonomistów. Nie może on im darować, że w napływie obcokrajowców widzą nie żywioły wrogie, ale jedynie zyski produkcyjne z przybytku sił roboczych. Podniecony przytem własną teorią zaludnienia i spostrzegając wśród ekonomistów jedynie Malthusa z jego działwą ideową, gotów zaprzeczyć ekonomii politycznej nawet prawa do bytu. „Ekonomia polityczna zostaje odrzucona dzisiaj na plan drugorzędny, świeże zaś gałęzie wiedzy: antropologia, etnografia,

zwłaszcza zaś demografia (!?) występują na pierwszy.” Zauważmy, że Dumont posiada nader powierzchowne pojęcie o ekonomii, która dlań streszcza się cała w Malthusie, Millu lub Bastiacie, a co najwyżej w utopistach francuskich z rodzaju Proudhona.

Słowem, książka ta ma głównie na celu przekonać, a raczej zmusić francuzów do miewania więcej potomków. Za pomocą jakich środków autor spodziewa się dopiąć tego, zapoznamy się z tem później. Uprzednio zatrzymamy się nad niektórymi faktami „wyludniania się” oraz nad teorią autora związku pomiędzy wzrostem ludności a cywilizacją. Dumont zaznajamia nas tylko z ostatecznymi wynikami swoich kilkoletnich poszukiwań statystycznych. Otóż bezustanne zmniejszanie się stopy rocznego przyrostu ludności pochodzi wyłącznie ze zmniejszonej płodności, gdyż śmiertelność nie tylko nie zwiększa się, lecz spada. Przytem liczba zawieranych małżeństw pozostała dawna, a więc zmniejszenie płodności nie jest następstwem mniej licznych związków małżeńskich, lecz jedynie mniejszej liczby dzieci w każdej rodzinie. Wszędzie, zarówno w miejscowościach gdzie przyrost ludności jest największy, jak i tam, gdzie ustał zupełnie, wszędzie to samo rzuca się w oczy, mianowicie, że doniesienia w tym względzie są z roku na rok niepomyślniejsze. Okoliczność ta wykazuje, że niedomaganie jest powszechne i wciąż zwiększa się. Zresztą sprawa jest nader zawiślana pod względem swego umiejscowienia. Wśród najzdrowszych departamentów istnieją niekiedy kilka gmin, gdzie ludność stoi wciąż na tym samym poziomie lub spada nawet; to znowu w miejscowościach, gdzie wyludnianie przybrało najbardziej zatrważające rozmiary, można spotkać jedną i drugą okolicę, które nie wykazują oznak tej plagi. Właśnie takie rozproszenie zjawiska umożliwia poniekąd analizę jego sprężyn. Mianowicie, we wszystkich gminach w których przyrost ludności jest największy, mamy stale do czynienia z najniższym stopniem zamożności. Okolice, zasobne w proletaryat wszelkiego rodzaju, wykazują najmniejsze wyludnienie; przeciwnie, klęska ta sroży się głównie pomiędzy grupami lub okolicami zamożnemi, które śmiało mogłyby pozwolić sobie na liczniejsze potomstwo. Odległość od wielkich ognisk miejskich, nędza, ciemnota, mały rozwój środków komunikacyjnych, trwanie narzeczy miejscowych, wszystkie te przeszkody, stojące na drodze wzrostowi dążeń cywilizacyjnych, są tyluż okolicznościami, sprzyjającemi znacznej płodności. Dumont następnie rozbie-

ra, jaką może być dalsza przyczyna tego faktu. Ani antagonizm pomiędzy pracą umysłową a napłódczością, ani też wzrost prostytucyi i in. warunki nie wyjaśniają dostatecznie spadku płodności. Jedyne a wyłączne źródłem wyludniania się Francyi jest w rozumieniu autora wola ludzka: małżonkowie miewają mało dzieci lub zupełnie ich nie posiadają, nie dlatego, aby nie mogli, lecz ponieważ świadomie czynią postanowienie wstrzemięźliwości w tym względzie. Ukazuje się teraz pytanie, jakiej to pobudki doprowadziły ludność francuską, a raczej jej część zamożniejszą, do takiego postępowania. W tym celu Dumont stawia nową teorię zaludnienia, o której mimochodem zauważymy, że jest bardzo starą w głównym swym zarysie. Sprawę podejmuje on nader szeroko, bo zaznaczywszy, że oligantropia (taką specjalną nazwę nadaje wyludnianiu wskutek zmniejszonej płodności) była właściwą Rzymowi i Atenom, wiąże ją z rozwojem cywilizacyi. Mianowicie wprowadza pojęcie „włoskowatości społecznej.” Każdy członek społeczeństwa usiłuje wzniesić się wyżej, przejsz od czynności i stanowisk niższych, które zajmuje, do wyższych. Parta żywiołowo, każda jednostka, nie troszcząc się o inne, dąży na oślep w kierunku pewnego ideału, jaki sobie wyrobiła. Uczony, umierając z głodu, będzie pracował nad nauką, inny walczył za lepsze jutro społeczne, kto inny jeszcze marzył o zdobyciu majątku. Właśnie ów popęd do stanowisk wyższych Dumont zowie włoskowatością. Ciężenie to może być większe lub mniejsze, stosownie do warunków. Kiedy wytknięty cel nie jest zbyt olbrzymi, lecz odpowiada siłom osoby, to możliwość dopięcia go jedynie wzmacnia energię i przyspiesza walkę, jak w obecnej Francyi. Przeciwnie, kiedy przeszkody na drodze są bardzo wielkie i wprost do nieusunięcia, ideał zaś silnie zostaje rzucony w umysły wszystkich, wtedy wola zostaje jakby porażona, energia wygasła, rozpacz zaś doprowadza człowieka do zupełnego zwątpienia i zrozpaczenia o własnych siłach. Takim jest stan ludów dzikich, jak veddahi Cejlonu wobec nowoczesnej cywilizacyi. Gdzieindziej znowu przeszkody są tak wielkie i sam ideał tak daleko odsunięty i mało znany, że tylko nieliczne jednostki są przezeń porwane, np. w państwach monarchicznych średniowiecznych. Słowem, stosownie do istniejących stosunków społecznych natężenie włoskowatości w różnych epokach jest nader odmienne. Jeżeli staje się ono zbyt silnem, człowiek wyzuwa siebie z wszelkich obo-

W sto ech łoskot się odbija  
Od sterczących skał wybrzeży;  
Z pod „Sokóla” wężkiej cieśni  
Wylatuje rozhukany,  
Ryczy, wyje, potrząsając  
Jak lew grzywą białej piany,  
Gryzie brzegi granitowe,  
Przeskakując głazów złamy  
I dobiega w tych podskokach  
Aż do młynów... Z drogi tamy!  
Jego dzisiaj nie powstrzyma  
Nawet grobla ta z kamieni,  
Co mu legła w poprzek drogi!  
Oto wre, wściekłością pieni  
I falisty grzbiet wypina,  
Jak drapieżny ryś przed skokiem  
Nabrzmiął w licach i posiniał,  
Zagniewany jej widokiem,  
Wtem się porwał, wpadł na szanice  
I zwycięzkie krzycząc: hura!  
Skacze w przepaść... Nad przepaścią  
Łoskot, szum i deszczu chmura!  
Brzegi stoją jak dwie ściany,  
Jak spiętrzone rumowiska,  
Nad którymi hen wysoko

Błękit śmieje się — połyska,  
A po jasnym tym błękiecie  
Ciagną ptactwa długie sznurki,  
I jak stado białych ptaków  
Poszarpane lecą chmurki...

#### Część pierwsza.

##### I.

Już kra zesła i Teterów  
Szklaną szybą legł w łożysku;  
Żadna zmarszczka nie zamąca  
Stalowego wód połysku;  
Jeno czasem ta szczebiotka,  
Błyskawiczna ta jaskółka,  
Gdy je piersią białą muśnie,  
Wnet roztoczy liczne kółka,  
Które biegną dalej, dalej,  
Coraz szersze kresząc kręgi,  
Aż znikają gdzieś przy brzegu...  
Toń wygląda swoje pręgi  
I znow lśniąca i przezrocza  
Cicha, głębią tajemnicza  
Odzwierciedla brzegi skalne  
I błękitne nieb oblicza.

Czasem listek spadnie suchy  
Bez szelestu na toń mięką,  
Niby małe, pozłociste,  
Kołyszące się czółenko;  
Wnet nań motyl, albo ważka  
W marynarza siada roli,  
Czworo skrzydeł — żagli szklistych,  
Rozwinęła na gondoli  
I po wodzie, po przezroczej  
Płynie, kędy niosą oczy...

##### II.

Niegdyś jak ta ważka płocha  
Jam do łodzi wsiadał małej  
I płynąłem zwolna, cicho  
Ku Sokólu, między skały:  
Nurt się zwięża i ciemnieje,  
Skręca w prawą, lewą stronę,  
Coraz wyżej pną się brzegi,  
Wiszarami najeżone:  
To jak ściany prostopadłe  
Z całkowitych głazów kute,  
To jak gmachów rumowiska  
Zielskiem pnącem się zasnute,  
A tu — ówdzie w poprzek rzeki



wiązków gatunku i tylko widzi własne potrzeby indywidualne. Naturalnie, liczne potomstwo jest w tym razie tylko zawadą na drodze do wybicia się i, co idzie za tem, zostaje równie poświęcone. W ten sposób można streścić prawo wiążące rozwój indywidualny, płodność rasy a włoskowatość. Mianowicie rozwój indywidualności ludzkiej jest w prostym stosunku do każdorazowego natężenia włoskowatości, podczas gdy płodność rasy znajduje się w odwrotnym do tej ostatniej. Otóż całe nieszczęście obecnej Francji polega, zdaniem Dumonta, na tem, że włoskowatość doszła w niej do najwyższego szczytu. Wynika to stąd, że kraj ów posiada wyjątkowe sprzeczności w swej ustawie społecznej. Jest on niby rzecząpospolitą, lecz w gruncie rzeczy urządzenie jego jest monarchiczne. Dawny porządek rzeczy pozostawił po sobie centralizację w ustroju i zarządzie, idealizm w polityce i sztuce, katolicyzm w pojmowaniu przyrody i społeczeństwa. Pomiędzy dawnymi obyczajami a nowymi zasadami wre walka bezustanna i powszechna, a wzajemne sprzężenie starooczesności z tegocześnieścią stwarza takie rozdziwki, jak istnienie demokracji zcentralizowanej w polityce, idealistycznej w sztuce, katolickiej w nauce i filozofii. Brak harmonii a silna walka zdradzają szkodliwą włoskowatość, która w dalszym ciągu wpływa na płodność rasy. Nie cywilizacja przeto niesie z sobą zmniejszenie płodności, ale nienormalne warunki...

Dosyć poznaliśmy pracę Dumonta, aby zgóry wiedzieć, że nie ograniczy się on do wskazania przyczyny bez podania środków usunięcia zła. Naturalnie, wychodząc z powyżej skreślonego stanowiska, można zwyciężyć klęskę niepłodności albo wskrzeszając dawny stan rzeczy, który, przywracając hierarchię społeczną, odrazu usunie dążenie do wyższych stanowisk, wywoływane przez obecną centralizację, i sprowadzi harmonię w ustroju społecznym, albo w kierunku innym, odpowiadającym ideałowi „harmonijnej demokracji“ i „należytej cywilizacji“, jak je pojmuje Dumont. „Nasze położenie wolno porównać do pociągu w miejscu niebezpiecznym: należy albo cofnąć się i zwolnić biegu, lub też dodać pary i zmniejszyć trwanie niebezpieczeństwa. Należy wybrać to ostatnie zachowanie się.“ A zatem poddajmy pary wraz z Dumontem rozwojowi społecznemu Francji i zobaczmy, dokąd powinniśmy w jego marzeniu skierować społeczeństwo. Ziemia i współrodak! takim jest hasło — zresztą znane. Rozumie się, decentralizacja polity-

czna, masowe rozszerzenie oświaty i stworzenie wielu ognisk życia umysłowego, wyrwanie z umysłów ludzkich metafizyki człowieka pierwotnego i zniszczenie hierarchii duchownej, zatamowanie estetyki zbytku przez swego rodzaju prawa wyjątkowe, a jeszcze więcej przez zniesienie, a raczej zrównanie nierówności majątkowej — takimi są wypowiedzane życzenia, z których niejedne są niewątpliwie postępowe, gdyby dały się urzeczywistnić w istniejącem społeczeństwie. Podstawą wszystkiego jest tutaj zdemokratyzowanie własności w ten sposób, aby każdy miał równomierniejszą część. Słowem, dzisiejsza Szwajcarya, naturalnie odpowiednio wyidealizowana i wyanielona, jest ową harmonijną demokracją, która francuzowi przywróci utraconą chęć posiadania liczego potomstwa, a cywilizację pozbawi fermentów rozkładowych. A zatem, chociaż poddaliśmy pary rozwojowi społecznemu, osiedliśmy na idealnie drobnomieszczańskim! To jedno tłumaczy nam, dlaczego Dumont nie zdaje sobie należytej sprawy z różnych objawów społecznych. Centralizacja jest np. następstwem nie tyle królewskości, jak on tłumaczy, ile rozwoju kapitalistycznego, i demokratyczne Ameryka i Szwajcarya powoli dążą w tym właśnie kierunku. Pogardzana ekonomia, naturalnie nie z pod rąk Leroy-Beaulieu, wyjaśniłaby Dumontowi, że jego teoria zaludnienia potrzebuje mnóstwa lat i poprawek. I kiedy już idzie o dodanie pary, wartoby pojechać nieco gdzieindziej — w kierunku centralizacji sił produkcyjnych kraju a bezklasowego cywilizowanego koczownictwa ludzi. Lecz na to trzeba byłoby posiadać w sobie więcej pierwiastków ludzkich, mniej zaściankowo-francuskich, a nadto więcej zaufać ekonomii i mniej być zapatrzonym w „demografię“, tj. po prostu statystykę.

Lud. Krz.

## Z POZNAŃSKIEGO.

15 listopada.

Nowy język. — Wybory. — Spółki zarobkowe.

„Z Graetz udały się *panie Zapolski* do świadka *Johann Szymański*. Zostały tam i *pana Peter Smoliński*, który zabrał je następnie z sobą własnym powozem do *Kosten*. Jak obie *panie Zapolski* twierdzą, z *Kosten*, nie zastrzymując się w *Posen*, wy-

jechały do *Kobylepole*, gdzie bawiły u goźelanego *Rychlicki*. Temu właśnie *Rychlicki* dały *panie Zapolski* do przechowania dokumenta, które pokazywały poprzednio *Johann Szymański* i *Peter Smoliński* etc...”

Zapytasz niewątpliwie czytelniku, co to ma znaczyć i w jakim to języku pisane?

Ech, drobnostka; jest to ustęp z tłumaczenia urzędowego, dokonanego na wezwanie władzy sądowej w Poznaniu z języka niemieckiego na polski. Ale co znaczą owe *panie Zapolski*, ów *Peter Smoliński*, *Kosten*, *Graetz*, *Posen*, u *Rychlicki*, domu *Rychlicki*? Jest i na to objaśnienie łatwe i nader proste.

Oto prezes poznańskiego sądu nadziemiańskiego, niejaki p. Frantz, wpadł na arcyoryginalny pomysł zastosowania w praktyczny sposób reguł języka niemieckiego do polszczyzny. Wydał on do tłumaczów urzędowych okólnik, w którym nakazuje im w przekładach urzędowych trzymać się następujących reguł:

„Niewolno nadal przy imionach własnych osób i nazwach miejscowości używać odnośnych wyrazów polskich, ale jedynie tylko niemieckie.“

„Nazwisk polskich familijnych i miejscowych, niedających się przetłumaczyć na niemieckie, lub jeszcze nieprzetłumaczonych nie odmieniać wcale w sposób właściwy językowi słowiańskiemu, ale przytaczać je systematycznie w przypadku pierwszym, bez odmiany rodzajów, tak, jakby one w danym razie brzmiały w ciągu mowy niemieckiej.“

Wyżej mieliśmy sposobność okazać, jak dźwięcznie i miło brzmi takie urzędowe tłumaczenie. Oczywiście p. Frantzowi ono różni się nie robi, bo już i tak ma ucho należyte do przygotowane przez ciągle używanie języka niemieckiego, a ta okoliczność, że może to razić nieprzyjemnie obywateli poznańskich, wcale go nie obchodzi i obchodzić nie może. Wprawdzie sprzeciwia się to rozporządzenie p. Frantza § 191 ustawy karnej, ale taka kolizja również nie może mieć znaczenia tam, gdzie chodzi o cel wyższy, tj. o posunięcie granic państwa niemieckiego o kilkadziesiąt mil na wschód, o awansik lub odznaczenie, na które teraz już niewątpliwie czcigodny bojownik liczyć może.

Wśród tych z coraz to większą potęgą powracających fal germanizmu życie codzienne idzie swoim torem, tylko coraz w niem smutnej. We wszystkim czuć przynębnienie.

Za parę dni mają się odbyć wybory miejskie w Poznańskim. Ważne to posterunki,

Legł samotnie głaz olbrzymi  
Prąd wzmożony, pierścieniami  
Opasując go srebrnymi  
Szemrze ciągle, mruczy cicho,  
Niby pyta się, czy żali:  
„Poco legł tu pośród drogi,  
Bieg tamując mojej fali?“  
Przesmykami z pośród głazów  
Moje czółno się wyslizga,  
Coraz dzikszy tu krajobraz,  
Coraz straszniejsze tu urwiska!  
Hen wysoko odłam skały  
Groźnie zawisł nad otchłaniami,  
— Wiszar zwą Czackiego Głową,  
Z wielką czołą spoglądam na nią —  
Tu zakłócać nie chcąc ciszy,  
Ledwo ruszam małym wiosłem,  
Bo najłżejsze uderzenie  
Echem dwoi się doniosłem!  
Ozasem chęćka przyjdzie pusta  
Budzić te za każdym głazem  
Śpiące echa — więc uderzam  
O toń modrą wiosła płazem,  
Albo z piersi przepełnionej  
Krzyknę nagle: „drogi kraju!“

I wnet echo odpowiada:  
„Drogi kraju!.. rajul.. rajul..“  
Lecz spłoszony z pod wiszarów  
Wzłata kruków tłum złowieszczy  
I krakaniem mąci echo  
I nad głową moją wrzeszczy...

### III.

Wtem krajobraz się rozwidnia  
I nurt rzeki się rozszerza,  
Umajone zielonością  
Pochylają się wybrzeża.  
Tuż nad wodą jeżyn krzewy  
Kapią w rzecę swoje liście,  
Wyżej — krzaki leszczynowe  
Oplątane w chmielu kiście,  
Ustrojone festonami,  
Które zwiesza powój dziki,  
Z pod nich główki wychylają  
Polne dzwonki i storczyki.  
Jakże gwarno i rozdzwicznie  
W tej ustroni malowniczej,  
Gdzie kapeli ptasiej dzielnie  
Sam mistrz — słowik przewodniczył!

Płynę naprzód... Wprost przede mną  
Siny bór ciemnieje w dali:  
Gaśnie słońce, ale niebo  
Jeszcze się blaskami pali  
I gorącą barwą swoją  
Jak pozłotą toń powleka:  
Już nie wodą, ale złotem  
Rostopionem płynie rzeka!  
Więc po szlaku tym świetlanym,  
Co się łuską lśni i mieni,  
Jakby słońce podesłało  
Pasma złotych swych promieni;  
Po słonecznej owej smudze  
Ślizgam się w mej łodzi chybkiej  
A wciąż przed nią — niby iskry  
Wypryskują lśniące rybki;  
Wiosło nurzam w złotym płynie  
A gdy je nad wodę wzniosę —  
Deszcz kamieni drogocennych,  
Brylantową sieć rośe...



gdyż samorząd miejski daje pole do wielce użytecznej pracy obywatelskiej. Jak się zdaje, ostateczny ich wynik będzie korzystny tylko dla Niemców. Prasa bowiem poznańska, zajęta śledzeniem, czy nabożeństwa odbywają się we właściwej porze i czy księża dobrze miewają kazania, nie miała czasu zorganizować agitacji wyborczej, którą atoli Niemcy już dawno w ręce swe ujęli. Ale za to będzie narzekała na rozmaite rzeczy...

Z końcem października odbył się w Inowrocławiu sejmik „Związku Spółek zarobkowych.” Związek ten istnieje już od r. 1871 i zdobył sobie znaczną wziętość. Liczba spółek polskich wynosiła w 1889 r. 81 i to 22 w Prusach zachodnich a 59 w W. ks. Poznańskim; wszystkie są pożyczkowe i oparte na systemie Schultze Delitscha. Do stowarzyszenia należało 72 spółek z 24,891 członkami, z których 7,090 przypada na Prusy zachodnie, a 17,801 na Poznańskie, tak iż przeciętnie na każdą spółkę—345 członków. Najbardziej pocieszającym jest to, że rozwinęły się one po wszech; tak np. spółka w Śliwicach ma 1,032 członków, w Brusach 586, w Starym targu 483, w Bobrowie 387, w Czersku 263, w Lisewie 164, w Lubiewie 185.

Gospodarstwu jest oddanych 12,004 członków (588 właścicieli wsi i folwarków, 11826 gospodarzy i chałupników i 490 gospodarzy oficyalistów bez majątku nieruchomego), przemysłowi i rzemiosłu 5,205 (z majątkiem nieruchomym 3,111, bez majątku nieruchomego 2,094), a innym zawodom 2089 (z majątkiem nieruchomym 1,467, bez niego 1,622).

Według wykazu z d. 31 grudnia 1889 r. ma 70 spółek w wekslach 13,783,108 marek 10 fen., tak że na jedną spółkę przypada przeciętnie 191,901 marek, a na jednego członka 55,328! Udziału z końcem roku 1889 było 2,438,688 m. 18 fen. (na spółkę 34,838 m. 40 fen. na członka 97 mk.), dywidendy dano za rok 1884 136,506 m. 89 fen. Depozytów złożono w 71 spółkach 11,121,626 mk. 48 fen., a fundusz rezerwowy wynosił 1,053,624 mk. 10 fen. Aktywa i passywa wynoszą 15,263,872 mk. 29 fen., tak że na jedną spółkę przypada przeciętnie 215,012 mk., a na każdego członka 613 marek.

Sejmik obecny uchwalił ustawy patronatu Spółek zarobkowych, które przejęte zostały z projektów opracowanych przez komitet Związku; następnie przeprowadził, a raczej skontrolował rewizję, a wreszcie uchwalił skład patronatu, który ma odgąd obejmować sześciu członków.

t. z.

## BADANIA NAUKOWE.

### JĘZYKOZNAWSTWO.

*Prace filologiczne*, wydawane przez Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego, z zapomogi Kasy imienia Mianowskiego. Tom III, zeszyt III. Warszawa, 1890.

Z artykułów, przedstawiających bogaty materiał językowy, zasługują na uwagę: Kaliny Ant. „Prosty ludzi w wierze nauka,” dialog z rękopisu XVI w.; Ciszewskiego St. „Przyczynek do studyów nad słoworodem ludowym”; Berki Ant. „Słownik kaszubski porównawczy” i Ziembę J. S. „Słownik prowincjonalizmów powiatu będzińskiego.”

Zabytek językowy, podany przez Kalinę, lubo nie różni się co do form gramatycznych od „Komedyi o mięsopuście,” ogłoszonej w tomie II *Prac filol.*, jednakże dla języka potocznego, wolnego od wpływów stylistów, tudzież dla oryginalnej wielce liter-

ry, oznaczającej dźwięk ż, pożądany nader stanowi nabytek.

P. Ciszewski przysłużył się wiązką wyrazów technicznych, przekształconych przez słoworód ludowy. I tak z kropli Bardiana lud utworzył *krople waleryanowe*, upodobniając je do imienia Waleryan. *Buraks*, co przypomina *burak*, zam. *boraks*. Ponieważ garbarze w Stawiszynie używają kwasu do czernienia skór, przeto nieświadomi prostacy, przypatrując się tej robocie, nazwali to *kwasem garbolowym* (*karbolowym*). Nawet *woda uśmierająca* stała się w ustach prowincjonalów *wodą ośmierzającą*; dlatego też słysząc to tamtejszy gmin niemiecki, tłumaczy z polskiego przez „achthasenwasser.”

Okrom słownika kaszubskiego przez Płockiego, przybywa nam nowy zapas wyrazów z tego dyalektu w pracy p. Berki, który nie zadawałając się samym materiałem, podaje niekiedy próby dyalektologii poznańskiej, zbliżonej w wielu okolicach do mowy kaszubów, mieszkających, jak wiadomo, w Prusach zachodnich i na Pomorzu, tj. w powiatach: wejherowskim (Neustadt), kartuskim (Karthaus), kościszynskim (Berent), chojnickim (Konitz) i człuchowskim (Schlochau) w Prusach zachodnich; następnie w pow. bytowskim (Butow), słupskim (Stolp) i lembarskim (Lauenburg) na Pomorzu.

P. J. S. Ziembę zebrał prowincjonalizmy z powiatu będzińskiego. Wyrazy, przeniesione do ludu tamtejszego od szlżaków górnych, oznaczone są gwiazdkami. Szkoda, że p. Ziembę zaniedbał nauczyć się czeszczyzny, któraby wielce w zbioru tym pomocną była, rzucając niemałe światło na pochodzenie niektórych wyrazów, niewątpliwie czeskich, jak np. *cera* — córka, porówn. czeskie *dcera*; *chnet* — wnet, porówn. cz. *hned*; *dycki* — zawsze, porówn. czeskie *wždy*, *wždycky*; *slabikarz* — elementarz, porówn. cz. *slabikarz* itp.

Wdzięczni jesteśmy *Pracom filol.* za umieszczenie odczytu mianego w Dorpacie (w kwietniu 1889 r.) przez p. Baudouina de Courtenay. Treścią prelekcji są ogólne zmiany językowe, które objawiają się za pomocą historii, tj. rozwoju przerywanego, pośredniego. Są one bądź psychologiczne, bądź fizjologiczne, właściwe tylko jednostkom, a nigdy społeczeństwom; dlatego to, co stanowi życie językowe, jest pracą jednostek w trzech kierunkach: 1) *fonacyjnym*, tj. ruchu odśrodkowym, od centrum na zewnątrz; 2) *audycyjnym*, tj. ruchu odśrodkowym od zewnątrz ku centrum i 3) *cerebracyjnym*, tj. centralizacją w mózgu, czyli mówienie samo, a raczej myślenie językowe. Fonacya czyli ruch odśrodkowy dąży do ułatwienia wymowy, zastępując dźwięki trudniejsze — łatwiejszymi; np. *prześcieradło* zam. *prześcieńdło*, *barwierz*, *mularz*, *Małgorzata* zam. *barwierz* (barbier), *murarz*, *Margorzata*. W tym nawet celu zachodzi wyrzutnia i redukcya pewnych dźwięków, np. *rosnę*, *sza* zam. *rośnę*, *szedła*... *obwarzanek*, *obóz*, *obłok* — zam. *obwarzanek*, *obwóz*, *obwłok*, *cny*, *zacny* — zam. *czsny*, *zacsny*, a to znowu zam. *czstny*, *zacsstny*. Tu należy upodobnienie (asymilacya) usuwanie samogłosek końcówkowych, itp. Zniknięcie *ł* w wymowie wyrazów: *niósł* (niós), *jabłko* (japko) itp. zależy od fonacyi i audycyi, wpływającej poniekąd na przejście dźwięków *k*, *g*, *gh* na powiewne, czyli spiranty, w rodzaju *sz*, *ż*, lub *s*, *z*, np. *prosię* (prosie), *wieś* (wieś), *desiętę* (dzieśięć), *zna* (znać), *zima*... Z dawniejszych: *porc* (porcus), *vik* (vicus), *dek* (decem), *gno* (gmusco), *ghem* (hiems). W mózgu samym, tj. w cerebracyi odbywa się proces ułatwiania mówienia, uwzględniający poniekąd wpływy fonacyi i audycyi. Formy zastąpiły się innymi, nowszymi, wyrazy zmieniły znaczenie, albo też uległy przekształceniu przez słoworód ludowy.

W dziale rozbiórów i sprawozdań należy się uznanie p. Łosiowi za sprawozdanie ści-

śle przedmiotowe ze składni sanskryckiej Delbrücka. P. Kryński obficie dział niniejszy piórem swoim zasilił. Słowem, nie szczędzono starań, aby wydawnictwem tem przyjść w pomoc specjalistom.

J. F. Gajster.

### TYMCZASOWE DONIESIENIE KOCHA.

Ulegając nadzwyczajnemu naporowi ze strony lekarzów i publiczności, Koch ogłosił w *Deutsche Med. Wochenschrift* tymczasową wiadomość o swojej metodzie leczenia gruźlicy. Nie zdradzając istoty stosowanego środka, oznajmia tylko, że jest to płyn brunatny, przezroczysty, który w stanie pierwotnym przechowuje się z łatwością. Dla użytku trzeba go rozcieńczać wodą destylowaną, a roztwór taki ulega rozkładowi, staje się mętnym i traci swe własności. Chcąc tego uniknąć, trzeba roztwory sterylizować zapomocą gorącej lub karbolu. Po częstem atoli rozgrzewaniu i mieszanii z karbolem działanie płynu, zwłaszcza w postaci bardzo rozcieńczonej, słabnie stopniowo.

Środek ten, wprowadzony do żołądka, nie działa wcale i winien być stosowany tylko za pomocą wstrzyknięcia pod skórę. W doświadczeniach posługiwano się w tym celu specjalną strzykawką bez tłoczka, osadzoną na małym baloniku gumowym, którą łatwo przemywać alkoholem bezwodnym. Co do miejsca najodpowiedniejszego do zastrzykiwań, wybrano skórę między łopatkami i okolicą łędźwiową.

Przez długi czas Koch próbował swego środka na świnkach morskich. Gdy zaś rozpoczął doświadczenia z ludźmi, spostrzegł odrazu znaczną różnicę w zachowaniu się ustroju ludzkiego. Człowiek jest o wiele wrażliwszym na działanie owej cieczy, niż świnki morskie. Chcąc poznać działanie środka, Koch wstrzykiwał sam sobie na ramieniu 0.25 ctm. sz. roztworu. Po upływie trzech lub czterech godzin uczuł darcie w członkach, osłabienie, skłonność do kaszlu, duszność, które to objawy szybko się wzmacniały; po upływie czterech godzin wystąpiły niezwykle silne dreszcze, trwające całą prawie godzinę, a zarazem mdłości, wymioty i podniesienie się temperatury do 39.6°. Po dwunastu godzinach wszystkie te przypadłości ustąpiły, temperatura obniżyła się i nazajutrz wróciła do wysokości normalnej; ociężałość kończyn i osłabienie trwały dni kilka; równie długo też miejsce wstrzyknięcia było zaczerwienione i cokolwiek obolale. Najmniejsza dawka, działająca na człowieka zdrowego, wynosi około 0.01 ctm., odpowiadająca 1 ctm. sześciennemu roztworu 1 procentowego. Większość czuje po tej dawce tylko lekki ból w kończynach i przelotne osłabienie; u niektórych temperatura podniosła się do 38° lub nieco wyżej.

O ile co do dawki między zwierzętami, używanymi do doświadczeń a człowiekiem istnieje znaczna różnica, o tyle inne własności okazują pewną analogię. Najważniejszą z tych własności jest *specyficzne oddziaływanie środka na wszelkie procesy gruźlicze*.

Człowiek zdrowy, jak widzieliśmy, nie reaguje wcale albo w nieznacznym stopniu na 0.01 ctm. sz. Tak samo zupełnie ma się rzecz z ludźmi, o ile nie są dotknięci gruźlicą. Ale wręcz przeciwnie objawy spostrzegamy u chorych na gruźlicę; skoro bowiem wstrzyknęliśmy im tę samą dawkę, występuje silna, zarówno ogólna, jak miejscowa reakcyja. Reakcyję miejscową najlepiej można obserwować na chorych, których objawy gruźlicze występują zewnętrznie, np. w chorobie skóry zwanej wilkiem (lupus). Tkanka, dotknięta tem cierpieniem, zazwyczaj po kilku zastrzyknię-



ciach obumiera i daje się usunąć jako masa martwa.

Reakcyja w narządach wewnętrznych, a zwłaszcza w płucach, z natury rzeczy usuwa się z pod bezpośredniej obserwacji. W takich wypadkach przeważa ogólna reakcyja, wolno jednak przypuszczać, że i tutaj zachodzą te same zmiany, jakie gołym okiem widzieć można przy leczeniu „wilka.“

Opisane wyżej objawy reakcyi ogólnej w dotychczasowych doświadczeniach występowały zawsze przy każdym procesie gruźliczym po dawce 0,01 ctm., to też Koch sądzi, iż środek jego *stanie się niezbędnym przy stawianiu dyagnozy gruźlicy*, zwłaszcza w początkach suchot i w wypadkach wątpliwych, gdy poszukiwania lasecznika lub włókien elastycznych w płwocinie nie zdolały wytworzyć jasnego pojęcia o chorobie.

Zo spostrzeżeń zebranych po zastrzyknięciu płynu nad zmianami w skórze, dotkniętej „wilkiem“, pokazuje się, że płyn ów nie zabija laseczników, lecz tkankę gruźliczą. Fakt ten określa zarazem ściśle granice, do których sięga wpływ leczniczy nowego środka. Może on oddziaływać tylko na żyjącą tkankę gruźliczą, natomiast na zmarłą, zsewowaciałą, na kości dotknięte martwicą itd. środek Kocha nie działa. Lekarz przeto powinien przedewszystkiem żyjącą, jeszcze tkankę doprowadzić do obumarcia, a następnie starać się, o ile można jaknajprędzej, np. drogą operacyjną, o usunięcie obumarłej; w wypadkach, w których operacyja jest niemożliwą i gdzie sam organizm radzić sobie musi, należy przez ciągłe stosowanie środka bronić zagrożoną tkankę zdrową od napływu nowych pasorczytów.

U suchotników środek działał w sposób następujący: kaszel i płwociny wzmagaly się zazwyczaj po pierwszych wstrzyknięciach, później jednak stopniowo objawy te słabły, a w najpomyślniejszych wypadkach w końcu ustąpiły zupełnie; płwocina stawała się śluzową. Liczba laseczników zmniejszała się zwykle dopiero wtedy, gdy płwocina okazała się śluzową. Na razie znikały wtedy doszczętnie, od czasu do czasu jednak pokazywały się znowu, aż w końcu płwocina zupełnie przestała się wydzielac. Zarazem znikały poty nocne, chorzy zaczęli lepiej wyglądać i przybywało im na wadze. U wszystkich chorych, będących w początkowym okresie suchot, po upływie 4—6 tygodni ustępowały wszelkie objawy choroby, tak, że można było uważać ich za wyleczonych. Również chorzy z niezbyt wielkimi jamami w płucach poprawili się znacznie i prawie wyzdrowieli. Tylko u suchotników, u których w płucach znajdowały się liczne i szerokie jamy (kawerny), polepszenia obiektywnego nie można było zauważyć, jakkolwiek subiektywnie i tutaj poprawił się stan chorego i zmniejszała się ilość płwociny. Na zasadzie doświadczeń tych Koch przypuszcza, że *suchoty w początkowych okresach mogą być stanowczo wyleczone za pomocą jego środka*. Częściowo stosuje się to także do niezbyt daleko posuniętych wypadków choroby.

Orzeczenie powyższe wymaga rzecz prosta zastrzeżenia o tyle, że chwilowo niema jeszcze i nie mogło jeszcze być ukończonych zupełnie doświadczeń, któreby stwierdziły, że chory wyleczony został raz na zawsze. Recydywy na razie oczywiście nie są jeszcze wykluczone. W każdym jednak razie wnoszą wolno, że recydywy te będą mogły być usuwane równie łatwo i szybko jak pierwsza choroba. Z drugiej strony jest rzeczą możliwą, że analogicznie do innych chorób zakaźnych, wyleczeni raz suchotnicy będą zabezpieczeni trwale przed zarazą. I to wszakże Koch chwilowo poczytuje jako pytanie: wymagające stwierdzenia w dalszych badaniach.

Suchotnicy z wielkimi jamami w płucach prawdopodobnie tylko w wypadkach wyjątkowych będą mogli osiągnąć trwałe polepszenie z zastosowania tego środka. Ale

na razie i tego rodzaju chorzy po większej części doznawali polepszenia w stanie zdrowia. Stąd należy wnosić, że i tutaj na pierwotny proces gruźlicy środek ów działa tak samo, jak u innych, i że zazwyczaj niema tylko możliwości usunięcia obumarłych tkanek wraz z następczymi procesami ropnymi. Mimowoli nasuwa się myśl, czy niektórych z tych ciężko chorych nie można by wyleczyć przez skombinowanie nowej metody z pomocą chirurgii lub z pomocą innych czynników leczniczych? W ogóle z naciskiem Koch przestrzega przed szematycznym stosowaniem środka w sposób jednaki u wszystkich chorych na gruźlicę. Leczenie będzie zapewne najprostsze przy początkowych okresach suchot i przy zwykłych cierpieniach, dających się usunąć drogą operacyi; we wszystkich jednak innych postaciach gruźlicy powinna wejść w pełne swe prawa cała umiejętność lekarska w celu starannego indywidualizowania wypadku i użycia innych środków dla wzmocnienia skutków metody.

Punkt ciężkości nowej metody polega tedy na jaknajwcześniejszem o ile można jej zastosowaniu. Właściwym przedmiotem leczenia winny być początkowe okresy suchot, ponieważ wobec nich metoda może rozwinąć całą swą siłę leczniczą. Z tego też względu lekarze w przyszłości powinni w wyższym o wiele stopniu, niż dotąd, starać się o to, aby o ile można najwcześniej postawić dyagnozę suchot. Do tej pory rozpoznanie laseczników gruźliczych w płwocinach traktowane było jako rzecz małej wagi. Obecnie medycyna praktyczna musi poczynac sobie inaczej. „Gdyby dzisiaj lekarz nie użył w tym celu jaknajspieszniej wszelkich środków, do których należy przedewszystkiem zbadanie laseczników w podejrzanej płwocinie, zawiniłby ciężko swem niedbalstwem, ponieważ życie chorego może zależeć właśnie od dyagnozy i od jaknajszybszego zastosowania na jej podstawie specjalnej metody leczenia. W wypadkach wątpliwych powinien lekarz przekonać się o istnieniu gruźlicy za pomocą próbnego zastrzyknięcia płynu.“

## LITERATURA I SZTUKA.

### LITERATURA FRANCUSKA.

E. Tissot, *Les évolutions de la critique*. Genewa 1890.  
G. Renard, *Les princes de la jeune critique*, Paryż 1890.

Tissot jest zdecydowanym zwolennikiem krytyki analitycznej. Oto określenie, jakie jej daje: „Krytyka analityczna rozpatruje zjawiska artystyczne, jako *symbole*. Nie zaniebując rozbioru estetycznego i socjologicznego, zastanawia się ona głównie nad umysłem twórczym autora danego dzieła sztuki, nad otoczeniem, w którym umysł ten się rozwinął, nad rasą, z której wyszedł. Przez głęboką analizę dzieła, biografii, genealogii odkrywa ona pewne sposoby myślenia i czucia. Otóż te rysy znajdują się we wzajemnej od siebie zależności, jak rozmaite organy zwierzęcia (prawo współzależności charakterów Curier'a). Z ustanowieniem tych rysów umysł rozbieranego autora zostaje wskrzeszony przez krytyka.“

Tak samo mniej więcej pojmuje zadanie krytyki Renard: „Opiera się ona na tej wielkiej zasadzie, która panuje we wszystkich naukach: niema skutku bez przyczyny. Krytyka stara się więc określić naturę i wyjaśnić pochodzenie dzieła z jednej strony, a z drugiej — zrozumieć autora, umieszczając go w środku, w którym się rozwinął. Staje się ona w ten sposób gałęzią historii i jej ideał polega na wzniesieniu się od rozbioru faktów szczegółowych do znajomości ogólnych praw, które określają

rozwój literacki danego narodu.“ Renard przyznaje wszakże, iż w zastosowaniu do autorów żyjących tego rodzaju obiektywizm naukowy jest prawie niemożliwy; uprzedza zatem, iż książka jego posiada rysy i poglądy podmiotowe. Krytyka więc jego jest mieszana i dostarczyła nam kilka wdzięcznych charakterystyk: J. Lemaître'a, Ferdynanda Brunetière'a, P. Bourgeta, A. France'a i L. Ganderax'a.

Tissot jest bardziej pretensjonalny; ani na chwilę nie chce zleźć z koturnu; dziełko swe otoczył czysto naukowym aparatem i bądź co bądź erudycy odmówić mu nie można; ale rysy podmiotowe na każdym kroku odnajdujemy. Nic dziwnego: ani estetyka, ani psychologia, ani socjologia nie są umiejętnościami ustalonymi. Cóż dopiero mamy powiedzieć o krytyce analitycznej, która musi się na nich opierać? Do mistrzów tej nauki Tissot zalicza Taine'a, Hennequin'a i Bourgeta, zastanawiając się szczegółowo nad dwoma ostatnimi. Ponieważ o Hennequin'ie niedawno w *Prawdzie* pisałyśmy, więc zatrzymamy się na chwilę przed Bourgetem. I Tissot i Renard zgadzają się, że jego szkice krytyczne (*Essais de psychologie, Nouveaux essais de psychologie, Etudes et portraits*) należą tak samo do psychologii, jak i jego powieści. Aby zrozumieć krytyka, trzeba wziąć pod uwagę i powieściopisarza. Tissot opiera więc swą charakterystykę na całości jego dzieł. Jest to najlepsza prawie część książki. Stosunek Bourgeta do miłości najlepiej go charakteryzuje. Znajduje się tu, zdaniem Tissota, nie uczucie, lecz analizę, która zabija je w samym zarodku, arystokratyzm, omijający wszystko, co pospolite i szukający wyrafinowanych wrażeń, silną dozę myślowości i libertynizmu, nareszcie smutek bezgraniczny, niemający oczywiście przyczyny. Dalej Bourget jest dotknięty chorobą woli, którą Tissot chrzci imieniem hamletyzmu. Nareszcie krytyk odnajduje w fizjonomii duchowej znanego powieściopisarza fatalizm i kosmopolityzm. Pierwszy wytworzony został wykształceniem naukowym, drugi przebywaniem w sferach arystokratycznych, które Bourget przeważnie maluje. Od fatalizmu do mistyki krok jeden. Powieściopisarz francuski pojął, a poponiekąd hołduje religii cierpienia ludzkiego hr. Tołstoja. Tyle Tissot. Zauważmy od siebie, iż religia ta przybiera ostatnimi czasy coraz bardziej charakter klerykalny i zbliża się nawet do dewizy: „Credo quia absurdum.“ Ale Tissot weale nie spostrzegł, iż Bourget obok całej swej arystokratyczności jest sobie niezwyklejszym filisterkiem i że ideały jego moralne mają silny zapaszek zakrystyi. Już w „Zbrodni miłości“ Helena okupuje swój występki cudzołóstwa powrotem do „obowiązków.“ Ani Bourgetowi, ani Tissotowi, który się dziwi, że kobieta „si raffinée, de coeur si pur, trompe son mari,“ ani przez głowę nie przejdzie myśl, że jeżeli ze strony Heleny była wina, to polegała ona na tem, iż żyje ona z mężem, którego nie kocha — cudzołóstwo było tylko skutkiem tej winy. Zdumiewająca jest istotnie logika mieszczańskiej moralności. Helena, aby zrobić na złość kochankowi, który ją porzucił, oddaje się pierwszemu lepszemu, którego napotkała. Czuje się potem tak zbrukana, jak gdyby popełniła zbrodnię lady Mackbeth: nie nie zdola zmyć błota, które bryzgnęło na nią. Tymczasem ta sama Helena żyje z mężem lata całe, nie kochając go i nie mając żadnych wyrzutów sumienia. Czemu? Bo z mężem stanęła u mera, lub, jak u żydów, pod rozpiętą płachtą. Ośłupieć można! Jeżeli kochanek porzucił Helenę, to wyjścia z tragicznego położenia mogła szukać we wszystkim, tylko nie w powrocie do męża: wszak uściski jego powinny być dla niej tak ohydne, jak i uściski oficera, któremu się oddała po balu, mszcząc się na Armandzie. Tymczasem Bourget każe jej powrócić do „obowiązków,“ i znajduje w tym



oburzającym postępkowi rozstrzygnięciu kwestyi, gdyż jest ono w zgodzie z przykazaniami. Proszę sobie tylko wyobrazić Norę Ibsena pozostającą w domu męża potem, kiedy straciła dlań wszelki szacunek i miłość. W „Uczniu“ przedstawił nam Bourget, jako typ, który z czasem zbawi Francję, młodego szlacheckiego pasorzyta, żyjącego według ustanowionych raz na zawsze prawideł. Wolimy już rozkładającą się zgniliznę Roberta Greslon, niż tego rodzaju zbawienie.

Oprócz Taine'a, Hennequina, Bourgeta, przedstawicielami analitycznej krytyki we Francyi są Renouvier, Sarrazin, Ch. Morice, E. Rod, a po części Renan i Goncourt. Obecnie do grona ich przybył Tissot i Renard. Od krytyki analitycznej Tissot odróżnia literacką i moralną. Pierwsza ocenia zjawiska estetyczne i punkty widzenia pewnego kodeksu piękna, druga — opierając się na pewnym ideale moralności. Oba te rodzaje rozpatrują zwykle dzieło, jako niezależne, nie zaś jako konieczny skutek długiego szeregu przyczyn; wydają one swe sądy i orzeczenia na zasadzie pewnego dowolnego autorytetu, który się im wydaje bezspornym i przeplatając się w samoistnym stopniu, stanowią chleb codzienny wszystkich pism.

W rozdziale o krytyce literackiej Tissot zastanawia się głównie nad Brunetiérem i Lemaitrem.

Najwybitniejszym rysem fizyognomii duchowej Brunetiérea jest klasycyzm, a raczej latynizm, modelowany na wzór Boileau'a i literatury francuskiej XVII stulecia, po za którymi niema zbawienia. Brunetiére ma wszystkie zalety i wady swego mistrza. Zalety: jasność stylu i zdrowy rozsądek; wady: praktyczność i ciasność umysłu. „Książka dla niego pozostaje — powiada Tissot — papierem zadrukowanym słowami, ułożonemi mniej więcej zręcznie podług pewnych prawideł estetycznych.“ Tissot wątpi, aby przy takich warunkach można było pojąć poezję nowożytną. Nareszcie młody krytyk odnajduje w Brunetiérze wszystkie wpływy, które utworzyły literaturę francuską XVII w.: religię (jest on sługą Kościoła), monarchizm Ludwika XIV (któremu holduje we wszystkich jego przejawach) i starożytność rzymską. Mając taki, raz na zawsze ustanowiony katechizm poglądów, Brunetiére wydaje zwykle sądy doraźne, bez wahania. Z ducha nowożytnego klasyk ten zapożyczył tylko styl paradoksalny i pesymizm.

Antytezą Brunetiérea jest Lemaitre. Tutaj nie spotkacie żadnych prawideł, żadnych dogmatów — tylko wrażenia. Jako kronikarz nader dowcipny i przyjemny, jakkolwiek powierzchowny, Lemaitre wyraził się sam o swych kronikach: „Quand ces morceaux de style ont quelques mois de date, l'insignifiance en est telle, qu'ils sont absolument illisibles“ — i miał rację. Przy braku zasad ma on wszakże pewne skłonności i upodobania. Można je objąć nazwą neo-hellenizmu. Jest to „żał za straconym poganizmem Hellady i chęć zapomnienia chrześcijaństwa,“ jak go Tissot określa. Kierunek ten przejawia się u Lemaitra, oprócz pogardy dla wszystkiego, co chrześcijańskie, w uwielbieniu kobiety (féminisme) i w dyletantyzmie myśli. Jest to prawdziwy Don-Juan w krytyce.

Krytykę literacką, oprócz powyższych uprawiają we Francyi: J. Nisard, L. Ulbach, F. Sarcey, A. France, J. J. Weiss, H. Houssaye i mnóstwo innych.

W dziele krytyki moralnej Tissot mówi o E. Schererze i o Barbey d'Aurevillym. Pierwszy rozpoczął od protestantyzmu, przeszedł potem do niezależnej etyki, przypominającej jednocześnie Spencera i Kanta i skończył nareszcie na bezgranicznym sceptycyzmie. Posiadał on zawsze szlachetną śmiałość wypowiadania swych myśli bez ogródk. Dla przekonań wyrzekł się zyskowej kariery profesora teologii, z prze-

konania ośmieszał wiarę objawioną, która go niegdyś ludziła; tą samą nareszcie pobudką kierowany, wystąpił w obecnych czasach szowinizmu francuskiego przeciw patryotyzmowi. „Bardzo być może — pisał — iż patryotyzm ma pewne czary dla wielu osób; co do mnie, przynajmniej, jest mi on nieprzyjemny dzięki swej ciasnocie. Aby się zamknąć w sferze ojczyzny, trzeba być przekonanym, iż ojczyzna nasza jest najlepsza. Otóż wszystkie narodowości są o tem przekonane. Niepodobna, aby wszystkie miały rację: przesąd, głupstwo...“ Musimy przyznać, że człowiek, który się odważa w czasach, gdy Derouledé'owie rej wodzą, coś podobnego publicznie powiedzieć, musi obok odwagi posiadać jeszcze pewne przekonania. Proszę zauważyć, że nikt uczciwości Scherera nigdy nie zakwestyonował i nie obwiniał, iż chce sprzedać Francję Niemcom. Dlatego też zdanie Tissota, iż Scherer jest Mefistofeilesem krytyki francuskiej, wydaje nam się mylnem. Nie będziemy się zastanawiali nad Barbey d'Aurevillym, który zachował w końcu XIX w. ideały krzyżowca. Do szkoły krytyki moralnej należą jeszcze Caro, Bersot, Melchior de Vogüé, d'Haussonville i wielu innych.

Dzielnko Tissota ma tytuł zbyt pretensjonalny, gdyż ewolucyi krytyki francuskiej w niem nie znajdujemy. Daje ono nam natomiast charakterystykę sześciu pisarzy (Brunetiéra, Lemaitre, B. d'Aurevilly, Scherer, Hennequin i Bourget) napisaną z talentem i znajomością rzeczy.

L. W.

## LITERATURA NIEMIECKA.

### I. Powieść.

F. Mauthnera „Der Villenhof.“ — Hermana Heiberga „Die Spinne.“ — „Vevi.“ opowieść epiczna Gustawa Schollwöckca.

Mauthner i Heiberg należą do owej grupy młodszych powieściopisarzyw Niemczech, którzy stworzyli sojusz pomiędzy powieścią nowoczesną, realistyczną a tradycyjną, szablonową, zapewniwszy sobie w ten sposób poparcie obu obozów, wkradli się w łaski wszystkich kół czytających. Lawirują oni zręcznie między prawdą realną a ponętą zepsuciem, pomiędzy satyrą społeczną a kokietowaniem z arystokracją. W nowej powieści Mauthnera, „Villenhof,“ widzimy wdowę mieszczańską, sprytną i bogatą, a wzdychającą do arystokracji. Autor nie jest o tyle okrutnym, aby nie zaspokoić ambitnego pragnienia swej bohaterki: wydaje ją istotnie za hrabiego. Ów hrabia, również zręczny a znudzony, poślubił poprzednio subretkę, która mu uciekla z jakimś baronem, a baron znów opuścił był biedną szwaczkę. Aby zaś wykazać, jak ulubioną w kołach arystokratycznych zabawką jest porzucanie towarzyszy życia, wprowadza Mauthner jeszcze żonatego generała, umizgającego się do wdowy póty, aż żona mu ucieka. Dodajmy jeszcze młodego rzeźbiarza, wslawiającego się z nienauką mistrzowską grupą i poślubiającego bogatą szlachciankę, a zrozumiemy do reszty, na jakiej to kanwie i jakimi kolorami Mauthner haftuje. Ma to być powieść „berlińska,“ lecz w postaciach jej i zdarzeniach streszczonych niewiele chyba dopatrzeć można barw miejscowych. Jeżeli mimo to publiczność bardzo nią się zainteresowała, przypisać to należy tej okoliczności, że autor uchwycił typ wyborny, znany powszechnie w Berlinie. Mauthner nazywa tę postać „Tulpenzieke,“ w Berlinie zaś znaną ona jest jako „Eiszieke.“ Jest to wdowa niemłoda już, jednak pretensjonalna, o czem świadczy dziwaczna jej toaleta. Płonąc bezdenną dla płci męskiej sympatją, pożyczca

złotej młodzieży pieniędzy na niskie procenty, przytem używa życia, bywając na wszystkich wycieczkach i balach, a głównie na ślizgawkach; stąd przydomek „Eiszieke.“

Heiberga „Spinne“ osnutą jest na motywie oryginalniejszym, ale niestety za wiele w powieści tej dodatków szablonowych. Bohaterka ma naturę dziwną: nie znosi ona miłości, a ile razy mężczyzna, choćby najsympatyczniejszy, zaczyna okazywać jej to uczucie, budzi się w niej ów opór zagadkowy, który zowie „pajakiem.“ Jest to zjawisko, które u panien nowoczesnych, żyjących w sferze moralnej, oddalonej od przyrodzonych podstaw etyki ludzkiej, nie jest tak rzadkiem, jakby można sądzić wobec jego paradoksalności. Gdyby tylko bohaterka ta nie nazywała się Barbro Ranka Semidoff! Lecz tego wymaga — według Heiberga — smak publiczności. Owoż panna Semidoff zaręcza się z prokuratorem państwa Lucusem, patrząc jednym okiem na rycerskiego Tassila, posiadacza majątku milionowego. Lucius jako narzeczony okazuje Rance miłość, skutkiem czego wyłazi z niej pajak: zrywa ona związek zawarty, a kiedy Tassilo znów się pojawia, ona znówu z nim się łączy. Teraz dopiero pajak ją niepokoi: nie umie i nie chce być żoną. Lecz Tassilo to nie kanarek łagodny w guście Luciusa: postanawia on „poskromić złoźnicę.“ Wyjeżdża wieczorem po ślubie, a młoda żonę zostawia w pałacu, poruczając kamerdynerowi rolę dozorcę więziennego. Kamerdyner ten ozdabia powieść swem nazwiskiem: Heiberg nazwał go „Lamartine.“ Pani Tassilo ucieka przez okno: czuje, że ma głos fenomenalny i chce jako artystka żyć wystawnie, awanturniczo a niezależnie i nie być zmuszoną do miłości. Lecz Tassilo znajduje ją i poskramia skuteczniej niż dawniej, a po kilku latach uroczą kobietą, zbuntowaną przeciw porządkowi przyrodzonemu, zostaje matką i na tem kończy się tragicomedia jej młodości.

Ze sfery powieści współczesnej, goniącej za zarobkiem, przenosi nas „Vevi“ Schollwöckca w dziedzinę poezyi prawdziwej. Akcja utworu tego odgrywa się około roku 1634 w Oberammergau; był to czas, kiedy po raz pierwszy dawano tam widowiska pasyjne. Vevi jest dziewczyną z Oberammergau, a bohaterem arcybiskup elektor, Maksymilian koloński. Schollwöck obok obrazów tragicznych, odzwierciedlających czasy „czarnej śmierci,“ roztacza w utworze swym wiele humoru i kreśli sielanki, niezakrawające na sentymentalność. Techniczną zaletą tej opowieści jest ścisła przedmiotowość.

### II. Dramat.

Nowe tryumfy dramatu społecznego w Niemczech: Wildenbrucha „Haubenlerche,“ Fuldya „Das verlorene Paradies,“ — Nowa sztuka Sudermanna „Sodoms Ende,“ — Cesarz Wilhelm jako protektor dramatu społecznego.

Dramat społeczny stanął nagle na pierwszym planie literatury niemieckiej. Zajęcie się powieściami zmalało u publiczności i autorów, wszystko prze ku scenie. Lecz ostatnich lat parę ani jeden dramat niemiecki nie miał powodzenia. Teraz inaczej. Wiadomo czytelnikom *Prawdy*, że szereg dramatów społecznych rozpoczął się z sztuką Sudermanna „Die Ehre“ (Honor), która weszła na wszystkie sceny niemieckie, dając hasło innym pisarzom do porzucenia dawnego szablonu i do poświęcenia się nowemu kierunkowi. Ernest Wildenbruch, którego posądzono, iż zupełnie zaprzedał się kołom rządowym, a którego przedstawiła praca „Der Generalfeldoberst“ niedopuszczona była na scenę berlińską, gdyż tym właśnie kołom się nie podobała, zgorzszony taką zapłatą za kilkakrotnie wierne usługi, przeskokzył odrazu na pole poezyi socjalistycznej. Bohaterką jego najnowszego dramatu „Die Haubenlerche“ jest robo-



tnica, świeża i wesoła jak skowronek, bohaterem — młody właściciel fabryki, typ człowieka ceniącego niezawisłość, a pragnącego zbratania się z pracodawcy z robotnikami. Zakochany w owym „skowronku“, któremu na imię Lene, pragnie ją poślubić; lecz przebieg akcyi okazuje, że szlachetny August był marzycielem, i że między warstwami społecznymi, które dzieli stopień inteligencji i wykształcenia, istnieje może przyjaźń i solidarność, lecz nie wspólność życiowa. W dramacie tym wiele postaci używa gwary berlińskiej, co sztuce w przedstawieniu dużo dodaje żywości. „Die Haubenlerche“ miała znaczne powodzenie w „Deutsches Theater“, który nareszcie rozwarł swe wrota dla dramatu z nowym kierunkiem.

Próba Adolfa Wilbrandta na tem samym polu („Neue Zeiten“) była niefortunna. Natomiast Ludwik Fulda, znany dotychczas jako komedyopisarz, wystąpił szczęśliwie z dramatem społecznym „Das verlorene Paradies“ (Raj utracony), wystawionym również w „Deutsches Theater.“ Autor zapoznaje nas z domem fabrykanta Bernardiego. Jest to typ przeciętnego człowieka zamożnego: „porządny“ w znaczeniu moralności konwencyjonalnej, nawet dobroduszny, ale bezmyślny i próżny. Podobną jest żona jego. Córkę Edytę wychowano po pańsku, wyuczono jej wszystkiego, czem olśniewać można w towarzystwie, lecz zaniedbano kształcenia serca. To też szlachetna ta w gruncie dziewczyna myśli chętnie o tem, co stanowi najwyższą ambicję jej rodziców: o świetnej partyi. Wnet znajduje się kandydat odpowiedni, porucznik v. Ottendorf, syn słynnego niegdyś uczonego, po którym oddziedziczył tylko głośnie nazwisko. Ottendorf zewnętrznie przedstawia się jako *gogo* o manierach oficerskich, a we wnętrzu jego ukrywa się brutalne samolubstwo, nieznające granic. W akcie pierwszym przyszył zięć omawia z Bernardem finansową stronę sprawy; Fulda nakreślił tę scenę z najwyższą prawdą życiową; to też publiczność zdradzała głośnie niepokój. Okazuje się, że Bernardi jest mniej zamożnym, niżby się zdawać mogło, fabryka jego przynosi mu 70,000 marek rocznego dochodu, a pragnąc ułatwić córce świetne zamążpójście, ojciec urządził dom na stopie tak wystawnej, że przeżywa wszystko. Proponuje zięciowi jedną trzecią dochodu; Ottendorf zaś korzysta zrzecznictwem z zakłopotania Bernardiego i zniewala go do odstąpienia mu połowy. Tymczasem w fabryce budzi się niezadowolenie; trzystu robotników żąda podwyższenia płacy o 15%. Bernardi musiałby zredukować znacznie wydatki własne, aby mógł zgodzić się na żądania robotników. Niepodobna mu tego uczynić obecnie, kiedy dwie rodziny równie wystawnie utrzymywać musi. Kierownik techniczny fabryki, Arndt, człowiek dzielny i rozumny, jest po stronie robotników. Nieuniknione starcie wybucha wreszcie, a Fulda rozwija je w głównej scenie sztuki. Bernardi udaje się do fabryki w towarzystwie nowego spółnika i Edyty. Ottendorf spotyka się z Arndtem, dwa poglądy ścierają się ze sobą. Daremnie deputacja robotników żąda ustępstw. Nieszczęśliwy Bernardi wskazuje na elegancką córkę swą, którą żywić musi. Wówczas stary jakiś robotnik, oburzony do głębi, wyciąga z warsztatów swoją córkę suchotnicę, wołając: Oto moja córka, wszak i ona żyć chce! Ottendorf przykrem słowem przecina możliwość porozumienia się. Wtedy jeden z deputowanych szeroko rozwiera drzwi żelazne, wiodące do sal maszynowych, a powstrzymując ruch maszyn, ogłasza bezrobocie. Widząc czerwoną jego chustkę, robotnicy w okamgnieniu przestają pracować, z trzystu piersi wydobywają się dzikie okrzyki.

Scena ta sprawia głębokie wrażenie na Edycie. Nie знаła ona dotychczas ubóstwa, bogactwo swe uważała za rzecz naturalną, podobnie jak pragnienie życia świetnego.

Teraz pojęła, że trzysta uczeiwych rodzin cierpieć musi głód i niedostatek, aby ona podróżować i bawić się mogła. Czuje, że w tej walce wewnętrznej dopomoże jej Arndt. Lecz na razie przykre czekają ją rozprawy z rodzicami i narzeczonym. Nieprzychylna do wygłaszania poglądów zdrowych i moralnych, nieśmiało zarzuca rodzicom, że źle ją wychowano i oświadcza, że wyjdzie za Ottendorfa tylko w tym razie, jeżeli on zgodzi się na podwyższenie płacy robotników. Ottendorf bynajmniej tego uczynić nie myśli; zatem Edyta, której natura szlachetna budzi się coraz świadomiej, rzuca mu pierścione pod nogi. Widz domyśla się, że w Arndcie znajdzie dzielniejszego towarzysza życia.

Prasc Fuldy utrzymuje się na poziomie nowej, rozumnej techniki teatralnej, gardzącej efektami sztucznymi, układającej sceny według porządku naturalnego, unikającej frazeologii puste. Nie jest to dzieło poety genialnego, któreby porywało i na zawsze w pamięć się wryło, jednak wznosi się ponad poziom produkcji codziennej.

W chwili, w której moda dramatu społecznego opanowała literaturę i publiczność, zainteresowała wszystkich wiadomość, że Sudermann napisał nową sztukę. Tytuł wyborczy „Sodom's Ende“ (Koniec Sodomy). Już próby ukończono, już ptaćtwo dziennikarskie, które stadami zbiega się tam, gdzie powstaje jakaś sława, rozniosło po świecie cząsteczki z treści nowego dramatu, gdy wtem policja berlińska zakazała przedstawienia. Dyrektor policji oświadczył, że nie idzie mu o sceny pojedyncze, lecz o cały kierunek dramatu, na który pozwolić nie może. Wobec tego autor i dyrektor Lessingtheatru, Blumenthal, udali się do ministra Herrfurtha, który po kilku dniach zniósł rozporządzenie policji. Przeszkoda zrodziła reklamę: na pierwsze przedstawienie zjechało się mnóstwo dyrektorów i reżyserów z zamiarem wyrwania sobie tej nowej żyły złota (trzeba wiedzieć, że „Honor“ wszędzie dawanym bywał po wiele razy), gdy wtem zaszła druga niespodzianka: „Koniec Sodomy“ — upadł. Upadł zaś dzięki powikłanej akcyi, technice na pół szablonoj i niedostatecznemu pogłębieniu tematu, co świadczy pochlebnie o krytycyzmie publiczności, nieidącej na lep głośniego imienia. Zawsze jddnak sztuka to o tyle zajmująca, że warto zapoznać się z jej treścią. „Koniec Sodomy“, to — myśleć by można — niezawodnie symboliczne przedstawienie rozkładu towarzystwa nowoczesnego. Nie. „Koniec Sodomy“ to obraz, którym się wslawił młody malarz, piękny Willi Janikow. Kupiła go jedna z bogatych dam, zamieszkujących zachodnią część Berlina, a nabywając, przyciągnęła zarazem do siebie młodego artystę. Ada Marcinowska — to typ kobiety żyjącej tylko dla próżności i namiętności. Z Janikowem niebawem łączy ją stosunek miłosny. W salonie Ady poznajemy towarzystwo „Sodomy“, której „dowcip zastępuje naturę, prawdę i moralność“; dowcip to cyniczny, kpiący z wszystkiego, co ludziom święte. Jedną tylko postać sympatyczną widzimy w domu Ady, mianowicie siostrzenicę jej, Kitty, przybyłą niedawno z prowincyi. I ona kocha Janikow, który nie domyśla się jej uczucia, widząc jedynie, że go kontroluje w stosunku do Ady.

Willi, kompletnie zdemoralizowany pod wpływem Ady, nie pracuje wcale, myśląc tylko o romansach i hulaniu. Dawny kolega jego, Riemann, czyni mu wyrzuty i nie wierzy w Faustowską naturę, która rzekomo pracę mu uniemożliwia; ostrzega go przed upadkiem nieuniknionym. W usposobieniu tem Janikow chciałby zerwać stosunek z Adą. Lecz ona nie myśli go wypuścić: gotowa jest ożenić go i proponuje mu rękę Kitty, z którąby mieszkać mógł w jej domu. Zrazu Janikow raz potworność takiej sytuacji: lecz Ada przekonywa się, że

Kitty go kocha i od tej chwili wierzy w udanie się planu.

Drugi i trzeci akt odgrywa się w domu rodzicielskim Janikowa. Tam poznajemy Kramera, nauczyciela ludowego, towarzysza lat młodych Willego, który poświęcił mały swój majątek dla wykształcenia artysty; Klarę, przybraną córkę starego Janikowa, w której Kramer się kocha. Willi, uproszony przez Kramera, ma nakłonić Klarę do przyjęcia jego ręki. Tymczasem porwany jej wdziękiem, budzi w niej miłość ku sobie; wróciwszy zaś po przeżytnej nocy nad ranem do domu, zatacza się do jej pokoiku i uwodzi ją. W czwartym akcie, na balu u Marcinowskich, Willi, trapiiony wyrzutami sumienia, oświadcza się siostrzenicy Ady i poznaje w młodej tej dziewczynie swą zbawczynię. Lecz własna matka jego ostrzega ją, że Willi utrzymuje stosunek z Adą, a równocześnie wpada Kramer z wieścią, że Klara znikła. Kitty w rozpacz wybiega na ulicę, Willi puszcza się za nią, Ada zaś zjawia się na progu salonu i klaszcząc w ręce, woła: do kadryla!

W pracowni Janikowa nad rankiem (akt piąty) widzimy młodego malarza i jego narzeczoną. Wtem wnoszą trupa Klary, która utopiła się z rozpacz, Willi czuje, że niema dlań wyjścia: przyznaje się do winy Kramerowi, prosząc, aby go zabił. Kramer w uniesieniu swem podnosi nań buławę żelazną — lecz z ust Janikowa bucha krew. „Oto mój koniec — szepcze — w życiu za dużo miałem miłości, dlatego umieram samotny...“ W ostatniej chwili porywa go zapal twórczy, a widząc Klarę uroczą w śmierci nawet, jeszcze parę kresek rzuca na płótno i kona.

Treść ta bardzo rozczarowuje widza. „Koniec Sodomy“ nie przedstawia upadku zgnilego towarzystwa: towarzystwo pozostaje nietknięte ze swym cynizmem i zabiawą, a historia Janikowa bynajmniej nie jest symboliczną. Jest to historia rozpustnika, jakich wielu.

W chwili, kiedy gwiazda Sudermanna zaczyna błędnąć, współzawodnik jej Wildenbruch znowu „w łasce, w łasce, w łasce.“ Mimo że „Haubenlerche“ była protestem przeciw zawisłości od rządu, sztuka ta podobala się cesarzowi niemieckiemu. Dowiedziawszy się, że Wildenbruch napisał nową („Der neue Herr“), zaprosił go do siebie i pierwszy wysłuchał nowego utworu, przyrzekając, że sam czuwać będzie nad wystawieniem.

Ladawa.

## FEJLETON.

### LIBERUM VETO.

Światło wielkiej gwiazdy. — Naukowe odkrycie Kocha. — Dziwna forma objawienia wiedzy. — Nieusprawiedliwiona tajemniczość i niepotrzebna spekulacja. — Niepokój chorych i kłopot lekarzów. — Teoria oszczędności wypróbowana na suchotniku. — Ekonomia i filantropia. — Stowarzyszenie fotografów.

Wreszcie na ciemnym widnokręgu świata cywilizowanego błysnęła gwiazda, która ma go rozświecić, ku której zwróciły się spojrzenia wszystkich, a która nie jest ani znakomitą aktorką, ani śpiewaczką. W dwieście lat przeszło po pierwszym dostrzeżeniu bakterij przez terminatora w składzie płótna, Leenwenhoecka, w sto blisko po zastosowaniu szczepień ochronnych limfy ospowej przez Jennera, Robert Koch, któremu bakteriologia zawdzięcza wiele doniosłych odkryć, ogłosił, że udało mu się wynaleźć środek leczenia gruźlicy. Dawno już wiadomość naukowa nie wstrząsnęła tak światem i niepowitana została równą



radością. Jeżeli zważymy, że suchoty są chorobą zabierającą najwięcej ofiar i najmniej uleczalną, że nie ma prawie rodziny lub koła przyjacielskiego, gdzieby to straszliwe widmo nie przesunęło się w swoim niszczącym pochodzie, że wśród ludzkości miliony ludzi żyją pod groźbą wyroku skazującego ich na śmierć nieodwołalną, to pojmujemy, z ilu piersi wyrwał się okrzyk szczęścia po tej nowinie. Lekarze też ze wszystkich stron tysiącami pospieszili do mistrza, a chorzy zaczęli napływać tak olbrzymimi falami, że gazety niemieckie wyraziły wątpliwość co do zmieszczenia się tej masy w objętości Berlina. Dziś Koch w przekonaniu ogółu jest największym człowiekiem żyjącym.

Oczy zasłużył na tę chwałę? Dotychczas opiera się ona tylko na jego zapewnieniu, że zbawcze lekarstwo wynalazł. Nie przypuszczamy, ażeby badacz tak gruntowny i sumienny puszczał w świat myśl niedojrzałą i doświadczalnie niewypróbowaną, a właśnie dlatego, że mu ufamy, zadziwia nas wielce jego sposób ofiarowania owocu badań na ołtarzu dobra ogólnego. Wielkie objawienia wiedzy powinny się dokonywać z odpowiednią godnością. Kiedy Lister opracował metodę analityczną, a Pasteur — metodę szczepień ochronnych przeciw wściekliznie, obaj otworzyli na oścież swoje pracownie i oddali do użytku publicznego tajemnice swych odkryć. Tegoż samego dnia każdy lekarz je posiadał i mógł stosować. Inaczej postąpił Koch. Na kongresie lekarskim w Berlinie zaintrygował słuchaczy ogólnikową wzmianką, później drażnił ciekawość, uchylając reporterom rąbek zasłony swych poszukiwań, wreszcie gdy gromada lekarzów i chorych zaczęła go oblegać i napierać, ogłosił (w *Medizin. Wochenschrift*), że istotnie wynalazł środek leczenia gruźlicy, ale musi jego skład zachować jeszcze w tajemnicy, dopóki nie skończy doświadczeń. Tymczasem lekarze mogą nabywać cudowny płyn po 25 marek flaszeczkę, chorzy mogą poddawać się kuracji w szpitalach i klinikach asystentów wynalazcy, słowem wszyscy mogą kupować lekarstwo z wiarą w jego skuteczność, ale znać go jeszcze im nie wolno. Zaiste wytworzyło się położenie bardzo dziwne, gdyż z dwójga jedno: albo środek Kocha jest jeszcze dostatecznie niewypróbowany i w takim razie nie należy go ogłaszać jako cud wiedzy, albo już jest wypróbowany i w takim razie nie trzeba go tać. Tymczasem Koch wybrał drogę pośrednią. Upewniwszy ludzkość, że umie zażegnawać straszną jej plagę, że jego wynalazek posiada nie tylko własność leczniczą, ale też rozpoznawczą (dyagnostyczną), opowiedziawszy dziwy o jego działaniu, okazawszy przez swych pomocników żywe i olśniewające dowody jego skuteczności, podniósłszy zaciekawienie i niepokój do najwyższego stopnia, oświadczył, że tajemnicy swego dobrodziejstwa jeszcze nie zdradzi, tylko je sprzedawać może. Wyobraźmy sobie wobec tego sfinksa stan niezliczonych tłumów dotkniętych gruźlicą. Nie wszyscy mogą pojechać do Niemiec, nie wszyscy — zdobyć miejsce w kilku szpitalach (Berlina i Frankfurtu), nie wszyscy za pośrednictwem lekarzy otrzymać zbawcze flaszeczki, bo gdyby nawet Koch posiadał fabrykę swojej szczepionki, nie uczyni zadość żądaniom, i jednocześnie zastrzeżę, że jego płyn uzdrawia głównie w pierwszych okresach choroby, a w późniejszych ratunku nie daje. Iuż zaś jest chorych, którzy wobec tego zastrzeżenia i niemożności zdobycia leku znaleźli się w okropnej trwodze o swoje życie na myśl, że gdy cudowny środek zostanie ujawniony, przyniesie im pomoc za późno!

Jeżeli Koch za swą pracę i jej dobroczynny owoc pragnie być wynagrodzony materialnie, sam i opłacić usługi swych pomocników — nie mamy nic przeciwko temu. Ale czy dla osiągnięcia tego celu potrzebem jest tajemnie istoty odkrycia? Pasteur

odrazu zapoznał wszystkich ze swoją metodą leczenia wścieklizny, a jednakże długo z całego świata wędrowały do niego liczne rzesze pokąsanych, chociaż przecież wścieklizna nie może się porównywać pod względem liczebności wypadków z gruźlicą. Nadto środek Kocha nie jest ani zielem, które rośnie na każdym polu, ani substancją, którą można dostać w każdej aptece, lecz stanowi wytwór nowy, który nawet po poznaniu jego składu wymagać będzie przyborów, wprawy i przygotowań uprzednich. Zanim one zostaną dokonane, długo jeszcze badacz berliński i jego towarzysze zatrzymają monopol leczenia, zwłaszcza że jako wynalazca posiadać on będzie największe zaufanie. W końcu dodać trzeba, że Koch jest bogatym, że raz już otrzymał za swe prace naukowe 100,000 rs. i że teraz ma dostać milion! Mógł być więc śmiało zrzec się zarobku ze sprzedaży flaszeczek i kilkotygodniowej praktyki.

Do pewnego stopnia rzecz można, że on nie tylko dotąd nie dał swego środka ludzkości, ale nawet na jakiś czas powstrzymał w całym świecie leczenie gruźlicy. Bo który suchotnik poradzi się obecnie doktora, jeżeli ten nie posiada tajemniczego płynu? Dla chorych wszystkie recepty straciły wartość, każdy czeka na receptę z Berlina, której milejący czarodziej zapisać nie chce i nie określa, kiedy ze swych ust zdejmie pieczęć milczenia.

Nie chciałbym tak znakomitego i tak użytecznego badacza obrazić ani jednym słowem nawet po za jego plecami, ale obrona przez niego forma ofiarowania ludzkości wielkiego daru nie wydaje mi się godną geniusza. Korespondentowi *New York Herald* usprawiedliwiał się on, że go reportery dziennikarska natręctwem i plotkarstwem „zmusiła do przedwczesnego ogłoszenia” wynalazku; skoro wszakże umiał tak długo zabezpieczyć się przeciw wścibstwu, mógł mu przyciąć uszy i języki dłużej. Słabą jest również druga jego wymówka, że po odsłonięciu tajemnicy niewypróbowanego jeszcze środka „setki nieudolnych lekarzów bez należytego przygotowania i wiedzy zaczęłyby go wyrabiać.” Może bowiem zdarzyć się gorszy wypadek, że szalbierze wyrabiać będą cokolwiek i szczepić lub sprzedawać jako płyn Kocha, a wtedy, pomijając szkody, jaki powstanie chaos w dowodach skuteczności metody, którą od nadużyć pewniej ustrzegłaby jawność zupełna, niż połowiczna.

Nie doczekał uzdrawiającego środka Kocha biedny pracownik w zakładzie fotograficznym „Konstanty” i zeszedł ze świata, nie poznawszy teorii ekonomiczno-moralnej swego pryncypała. W kilku dziennikach, a następnie w listach do redakcyi naszej pisanych opowiedziano następujący wypadek. P. Żukowski, właściciel wspomnianego zakładu, nie tylko zaprowadził u siebie obowiązek pracowania zimą do godz. 4, a latem do 6-ej, ale nadto wytręcał „robotnikom” z pensyi dnie choroby. Między tymi „robotnikami” był operator Jędrzejewski, zdolny i sumienny, który w ciągu 5 lat służby opuścił tylko 7 dni (z powodu choroby i śmierci matki), czego mu nie darowano. Dogasający suchotnik wycęzał resztki sił, ale na 10 dni przed śmiercią nie przybył do zakładu, gdyż musiał leż w szpitalu, gdzie umarł. Ponieważ nie było go za co pochować, więc towarzysze, również ubodzy, prosili pryncypała, ażeby nieboszczykowi wypłacił całkowitą pensję miesięczną; ten jednak odmówił, tylko pozyczył im 40 rs. Obecny przy tem p. Girdwojn, inspektor ogrodu Pomologicznego, chociaż nie znał zmarłego, ofiarował rs. 10, dwaj młodzi ludzie dodali rs. 2 i tą sumą pokryto koszt pogrzebu. Gorszący ten wypadek przedostał się do prasy, a p. Żukowski, jak gdyby do pełnej miarki chciał jeszcze dosypać czubek, przypisał winę ujawnienia faktu retuszerce, wyomówił jej zajęcie i... zabrał głos w obronie własnej.

Zmarły „robotnik” — powiada on — pobierał 55 rs. miesięcznie, więc „mógł i powinien był odłożyć sobie pewien fundusz na czarną godzinę”; właściciele zakładów fotograficznych, z powodu zmniejszenia się dochodów, nie mogą być filantropami; wreszcie szan. ekonomista „ani pomyślał” o odebraniu pożyczonych 40 rs., tylko wolał towarzyszyć nieboszczyka „zostawić zasługę solidarności koleżeńskiej.” Siłę tych argumentów p. Z. wzmocnił 10 rublową ofiarą dla biednych. Kilku właścicieli zakładów fotograficznych zbiorowym listem zaprotestowało przeciwko tytułowi „robotnik” i przeciw metodzie oszczędności względem chorych biedaków, kilka pism zgromiło jej wynalazcę, a ja go podziwiam. Bo naprzód jest to znakomity ekonomista, który wykrył (nieokreślony bliżej) sposób robienia oszczędności z 55 rs. pensyi miesięcznej i poświęcił źródło pomnażania zmniejszonych dochodów karami za choroby pracowników. Powtóre, odmówiwszy zmarłemu pracownikowi wsparcia, a pożyczwszy jego towarzyszym 40 rs. na pogrzeb, które „ani pomyślał odebrać,” kiedy w gazetach krzyk podjęto i załączając do swego krótkiego wykładu ekonomii w *Kurierze* 10 rs. dla biednych, dał przykład oryginalnego miłosierdzia i dobrego serca, które rozczuła się niezależnie od widoku nędzy i całkiem samoradnie. Ponieważ zaś p. Z. „nie lubi paradować w roli dobroczynicy,” więc bardzo słusznie uczynił, oddalając retuszerkę, którą bez żadnego dowodu posądził o wystawienie jego wspaniałomyślności na widok publiczny. Nie chciał „paradować” — wierzymy najzupełniej.

Ale panu Z. pośrednio zawdzięczamy także dwa objawy, które już bez ironii uznać musimy za pocieszające: wywołał on ze strony współtowarzyszów swego zawodu protest, a ze strony opinii ostrą nagane, co świadczy, że w społeczeństwie naszem rozwinęła się znacznie wrażliwość na zatarg między kapitałem i pracą, oraz widoczna dla ostatniej sympatya. Przed 15 laty nie mielibyśmy takiego doraźnego sądu nad kapitalistą neliłościwym dla swych robotników. Następnie pod wpływem tego wypadku wzmocniła się osłabiona energia kółka ludzi dobrej woli, pragnącego związać fotografów w stowarzyszenie i ubezpieczyć dotkniętych nieszczęśliwymi obrotami losu. Znowu podjęto myśl utworzenia kasy zaliczkowo-wkładowej, a jednocześnie dobroczynnej, któraby swym uczestnikom niosła pomoc w razie braku zajęcia i w chorobie, a ich rodzinom w wypadku śmierci. Fundusz jej ma się utworzyć z ofiar, z wystaw, balów, koncertów i składek. Z instytucją tą byłby połączony kantor, pośredniczący w wyszukiwaniu pracy w obrębie całego państwa. Pierwsze datki już złożono i zabrano się do ułożenia projektu ustawy. Przedsięwzięciu temu, jak wogóle każdemu, które ma na celu łączenie się rozstrzelonych jednostek w imię wspólnego dobra, należy życzyć powodzenia.

Posel Prawdy.

## Z D A L A.

Pierwsze owoce działalności naczelników ziemskich. — Odezwa gubernatora niżegrodzkiego w sprawie wyroków chłosty. — Obrońcy do spraw włóściańskich. — „Homesteady” p. Pobiedonoscewa. — Duchowni pionierzy techniki rolnej. — Książę Puzyra przed sądem.

Prasa ruska gorliwie śledzi postępy instytucyi „ziemskich naczelników,” którzy swoją działalność już rozpoczęli w 16 guberniach państwa. Wiadomo, że przewodnią myślą tego nowego urzędu była dla prawodawcy zasada silnej władzy, stykającej się bezpośrednio z ludem wiejskim — zasada w części przywołana na pomoc dla okiełznania żywiołów zagrażających dobro-



bytowi słabej większości członków „miru“ włościańskiego, dla uporządkowania zarządu gminnego, w części — wysnuta z właściwości ustroju państwowego. Dziś już ta przezorność prawodawcza, ucieleśniona w zastępie urzędników dobranych w klasie uprzywilejowanej (*dworjanstwo*), jak widać z doniesień urzędowych i prywatnych — wydaje pożądane owoce. Dzięki inicjatywie i sprężystości nadzorczej naczelników ziemskich, zarząd gminy zaczyna tracić swoją dawną luźność i skandaliczność. Sądy włościańskie, znane dotychczas ludowi jako „łapciowe“, które z czasem zmieniły się były na sądy „pisarskie“, odzyskały należną przyzwoitość i prawidłowość. Samowola pisarzy gminnych została poskromiona — „utarto im nos.“ „Wieś ruska — powiada *Swiet* — w osobie naczelników ziemskich powitała nareszcie żywą i czynną władzę. Wszyscy porządni obywatele wsi, bez różnicy klas, są zadowoleni z nowych regulatorów życia społecznego i ich działalności, mającej na celu: ład i bezpieczeństwo.“ Tak przynajmniej głoszą wieści odebrane przez p. Komarowa z gubernii: riazaniańskiej, tułskiej, połtawskiej, sybirskiej i czernihowskiej. „Kułaki“ i „mirojedy“ — szynkarze, którzy dotąd wszechwładnie gospodarzyli po wsiach, dostali wędzidła.

Każda nowa instytucja społeczna, a szczególnie taka, która na arenę działalności występuje z hasłem spotęgowania władzy, nie może uniknąć błędów młodzieńczej popędliwości, dającej się tłumaczyć szlachetną gorliwością służenia dobru społecznemu. Takie pierwociny czynów poskromicielskich złożyli na ołtarzu Temidy naczelnicy ziemscy w gubernii niżegrodzkiej. Żeby na wstępie zaswiadczyć swoją rolę, zaczęli oni czynności od wykonania wyroków kary cielesnej, wydane przez uprzednie sądy włościańskie. To dało pochop opinii publicznej do szerzenia alarmujących wieści o masowych chłostach, spełnianych po kancelaryach włościańskich. Fakt ten daje się wyjaśnić prosto — jednoczesnością egzekucji, ta zaś — pojętnem stosowaniem litery prawa. Dlatego też okólnik wystosowany przez gubernatora niżegrodzkiego do pp. naczelników ziemskich należy uważać za objaw dobrze zrozumianej interwencji i mądrej przezorności. Gdy się przypomni sobie, że większość wyroków wydanych przez poprzednie sądy włościańskie zrodziła się z przekupstwa i wódki lub zemsty, nie trudno będzie zrozumieć następującą przestrożę okólnika gubernatorskiego: „W liczbie naczelników ziemskich jest wiele bardzo młodych osób, rozpoczynających karierę służbową i pragnących jaknajprędzej zaznaczyć swoją działalność. Masowe wykonywanie wyroków starych sądów włościańskich niewątpliwie zwróci uwagę na działalność naczelników, ale środek ten może być bardzo nieopatrny i szkodliwy również dla powodzenia samej sprawy, jak też i dla ugruntowania ufności ogółu do nowej władzy. Dlatego też proszę pp. naczelników najpokorniej uważać wyroki byłych sądów włościańskich za materyał, z którego należy korzystać z nadzwyczajną ostrożnością.“

Z pogłosek dziennikarskich (*Nowoje Wremia*) zapowiada się nowa wielkiej doniosłości dla ludu wiejskiego instytucja. Będzie nią państwowy urząd obrońców prawnych do spraw włościańskich. Instytucja ta nie wyszła jeszcze z stadiu mgławicy, lecz w głównych zarysach przedstawia się w następujący sposób: Obrońcy ci zaliezeni będą do służby rządowej, czynności zaś swoje spełniać będą przy kancelaryach naczelników ziemskich powiatowych, polubownych pośredników i sędziów pokoju. Każdy mieć będzie własne biuro. Pod względem odpowiedzialności i kontroli podlegać będą porządkowi, przepisanej dla adwokatów. Obowiązek zawiadomienia ludności wiejskiej o nowych obrońcach spocznie na administracyjnych władzach włościańskich. Sprawy włościańskie do wysokości 500 rs.

prowadzone będą bezpłatnie, od przewyższających tę normę pobierany będzie pewny procent od sumy dochodzonej. Instytucja zamierzona, jeśli stanie się rzeczywistością, będzie w wielkim stylu usiłowaniem prawodawczem zwalczania pokątnego pośrednictwa prawoznaczonego.

Że p. Pobiedonoscew stara się czynem naśladować to wszystko, co w Zachodniej Europie robi i zrobiła zorganizowana zachowawczość reformatörów społecznych, za nowy dowód może służyć jego projekt „ognisk domowych“, czyli jak inni wolą — „ojcowizn“ (*siemiejnyje uczastki*). Według zapewnienia gazety *Moskowskija Wiedomosti*, projekt ten ma być w niedalekiej przyszłości wniesiony do rady państwa. Istota tej tarczy prawnej polegać ma na tem, iż drobny właściciel dobra nieruchomego, nie tracąc swobody zastawu, sprzedaży lub zapisu swego mienia, może ogłaszać je za nieodpowiedzialne wobec długu i założyć protest przeciwko jego rozdziałowi po swojej śmierci. Instytucja ojcowizny zapobiega więc z jednej strony rozpadaniu się gospodarstw włościańskich na najdrobniejsze działki, a z drugiej niedopuszcza przechodzenia własności włościańskiej pod naciskiem przymusu sądowego — w cudze ręce. Celem zapobieżenia nadużyciom zakaz nietykalności wobec następstw prawa cywilnego rozpociera się będzie w granicach określonej normy, po za które nie wyjdzie. Zakaz ten nie będzie nieodwołalnym; przeciwnie, osoba, która pod jego skrzydła opiekuńcze raz przed niebezpieczeństwem się uciekła, może go cofnąć i znowu „ojcowiznę“ wrócić nurtowi swobodnego obiegu. Obszar *homesteadu* zależeć będzie od fizycznych warunków gospodarstwa, gleby itp. Pomysł p. Pobiedonoscewa wymierzony jest przede wszystkim przeciwko niedomaganiom drobnej własności indywidualnej, wcale zaś jest zbyt tuczny dla większości włościanstwa wielkoruskiego, które się opiera na gminnej własności, broniącej przez prawo 18 (30) marca 1866 r. (o zakazie działów familijnych). Ponieważ jednak mało posiada stanowczości — pozwala właścicielowi dowolnie klasę zakaz na ojcowiznę i cofać go w miarę potrzeby — może nieosiągnąć w tym stopniu celu, co będący na porządku dziennym w sferach prawodawczych projekt prawa o bezwarunkowej niezbywalności ziemi chłopskiej.

W swoim czasie w prasie ruskiej wysoko podnoszono działalność szkoły krasnoufimskiej na polu kultury rolniczej, energię i wpływ na lud nadzorców agronomicznych, wychowanych przez nią. Szkoła ta rozwinęła się zupełnie samodzielnie i w sprawie tępienia owadów szkodliwych dla zbóż oraz upowszechnienia wśród ludności wiejskiej — techniki gospodarczej i budownictwa maszyn i narzędzi rolniczych (np. młocarni itp.) zdziałała dużo. Wraz z swymi wychowancami, polami doświadczałnemi stała się istnem ogniskiem wiedzy technicznej, wzorem nie tylko dla całej gubernii permickiej, lecz i dla ościennych — ba, nawet dla całego państwa. Praca podjęta w tym kierunku przez samo społeczeństwo i poparta energicznie przez rząd byłaby najodpowiedniejszą drogą, po której, przypuściwszy, że niema żadnych przeszkód głębiej tkwiących — wypadało podążyć usiłowaniami podniesienia technicznego poziomu drobnej produkcji rolnej. Byłyby to środki zgodniejsze z duchem czasu. Rzeczywistość wykazuje, że w łonie wsi ruskiej kryją się jeszcze inne — działalność tego samego rodzaju proboszczów (*swiaszczenników*). Do roli, jaką im wyznaczył p. Pobiedonoscew w szkołach cerkiewno-parafialnych i w niedawno przez nas wzmiankowanej organizacji moralno-umysłowego oddziaływania na lud (bractwa), dołącza się jeszcze, może całkiem przypadkowo rola szczepicieli wyższej kultury gospodarczej w produkcji włościańskiej. Idąc za głosem własnego interesu i siedząc o miedzę z chłopem, poprowadzili

oni prawidłowo i racjonalnie swoje gospodarstwa, stając się przez to, może wcale bezwiednie, przykładem dla sąsiadów. Przypuszczać należy, iż są to przykłady dość liczne i nie rzadko tu i owdzie występujące. Składnicy narzędzi rolniczych i kupey trudniący się handlem nasion podobno najwięcej liczą nabywców wśród duchowieństwa wiejskiego. W miejscowościach, gdzie wielkie gospodarstwa pochyliły się ku upadkowi lub zupełnie ich brak, jedynym pionierem ulepszeń kultury rolnej — są duchowni. Te pojedyncze wysiłki, nieobjęte jednolitym planem, wita *Swiet*, jako zwastuny rodzącej się nowej siły kulturalnej i stawiaże swej strony kilka żądań. Potrzeba, żeby państwo, obdarzywszy już prawie wszystkich plebanów wiejskich gruntem, postarało się jeszcze o podniesienie ich gospodarstwa. Osiągnęłoby przez to dwa cele: poprawę gospodarstwa włościańskiego (naturalnie pośrednio) i utrwalenie dochodów proboszcza. W ten sposób gaża, udzielana jemu przez skarb, byłaby raczej zapomogą gospodarczą i podwójnie zasłużoną — jako przez duszpasterza i „kulturtregera.“ Właśnie w sam czas nauka gospodarstwa wiejskiego stać się ma składową częścią kursu seminariów duchownych. Pozostaje tylko zwrócić uwagę na zagospodarowanie się młodych proboszczów i dopomożenie im w tem, nadto zaś — pokierowanie ich działalnością kulturalną. Steru mógłby się jąć departament rolnictwa i to w prosty sposób. Wielu z proboszczów należy do jego korespondentów i mogłoby przeto udzielać obowiązkowo swoje opinie, z których sumy ujawniłoby się wyraźnie, jaki typ gospodarstwa duchownych w różnych strefach Rosyi byłby pożądany, jaki wpływ wywierają te gospodarstwa na lud i w jaki sposób ten wpływ dałoby się spotęgować.

Niespełna miesiąc temu na ławie oskarżonych zasiadł w Poniewieżu na Żmujdzkiej książę Paweł Puzyna, były marszałek szlachty i magnat. Pod zarzutem roztrwonienia pieniędzy publicznych (kasy zaliczkowo-wkładowej w Grunach, której był kierownikiem) oraz fałszerstwa ksiąg rachunkowych. Pomimo całej wymowy obrońcy, p. Wróblewskiego, i presyi, opinii publicznej (obywateli ziemskich) oświadczyjącej się za oskarżonym, pomimo „sympatycznego naszkicowania“ osoby winowajcy w akcie oskarżenia, wyrok był zgodny z literą prawa: pozbawienie szczególnych praw stanu i osiedlenie na 10 lat w gubernii Irkuckiej.

Z. Atanazy.

## UNIKAT LITERACKI.

Po wawrzyny krytyka literackiego nie sięgałem nigdy ani jawną ręką, ani skrytą myślą; jeżeli zaś od czasu do czasu występuje w jego roli, to zawsze z przekonaniem, że w prąd opinii wpuszcze kroplę nową a niezbyt cenną, i głównie wtedy, kiedy jakiś pisarz lub jakiś utwór pociąga mnie swą oryginalnością i znaczeniem. Przeważnie pod wpływem tej pobudki, a częścią pod naciskiem czytelników *Prawdy*, których nawet kilkakrotnie w odpowiedziach redakcyi musiałem prosić o cierpliwość, napisałem rozbiór literackiej działalności Prusa. Do pracy tej przystąpiłem z dobrą wolą, ze szczerą sympatją, z rzetelną sumiennnością i zamiarem przyjęcia udziału w uznaniu dla wybitnego autora. Przejrzałem rozproszone a nieraz z trudem zdobyte jego kroniki, przeczytałem ponownie wszystkie, nawet młodzieńcze jego utwory, wy dobyłem z nich najdrobniejsze isierki talentu i złożyłem z nich taką dla autora aureolę, na jaką według mojego sumienia i wiedzy zasłużył.



Ze wszystkich metod krytycznych najwłaściwszą wydaje mi się ta, której zasady dał H. Taine, a która wzorem nauk przyrodniczych nie mierzy autorów opatentowanym łokciem, nie wtłacza ich w formy szablony, nie urząda literackiej superrewizji, nie chwali i gani, lecz przyjmuje tę rację bytu, jaką sami sobie wytworzyli, wykrywa ich rysy znamienne, ocenia ich siły, tłumaczy i objaśnia. Rozbiór też piśmienniczej działalności Prusa poprzedziłem określeniem tej metody, którą posługiwać się miałem, a w wywodach starałem się uwydatnić jego główne uzdolnienia i usprawiedliwić słabości, unikając wszelkich napomnień, dydaktyzmu, morałów, wogóle tego, co wysnuć się daje z narzuconego artyście pojęcia powinności. Nie wątpię, że ktoś inny mógł być to zadanie spełnić lepiej, ale zdawało mi się, że zarówno niezwykle, a w *Prawdzie* wyjątkowy rozmiar tego studium, zarówno jego ton, jak sądy szczegółowe świadczyły o wielkiem uznaniu krytyka dla autora, które zresztą w ciągu lat ostatnich *Prawda* wielokrotnie mu objawiała. Tak też zrozumieć nas czytelnicy. Ani jeden, bądź piśmiennie, bądź ustnie, nie wymówił nam niedocenienia Prusa, natomiast niektórzy dostrzegali przesadę pochwał, a p. I. M. z Piotrkowa zauważył w liście, że „redakcyja *Prawdy* tak szczodrze rozdziela tytuły genialności, jak wystawa rolnicza złote medale.“

Wobec tego łatwo pojmiecie moje zdumienie, gdy w *Kuryerze codziennym*, przeczytałem już nawet nie żółcią, ale pianą napisany pozew o „fałszy, insynuacje, obelgi i niedorzeczności“ wraz z zapowiedzią obrony skrzywdzonego przeze mnie autora. Obrona ta wzburzoną potokiem gniewu przepłynęła przez ośm numerów *Kuryera codziennego* i stanowi unikat w literaturze. P. G. odtrącił z oburzeniem podany mu bukiet kwiatów i cisnął we mnie wiązką pokrzywy. Ażeby odświeżyć w pamięci moje uwagi i uwidocznić różnicę tonów naszego wzajemnego traktowania się, zamieszczam poniżej w dosłownych wypisach i ów mój bukiet i p. Głowackiego wiązkę. Proszę naprzód przeczytać i porównać:

Najbardziej winniśmy cenić (w twórcy) to, co jest w nim najlepszym — oryginalność. Takim oryginalnym w dość znacznej mierze, a przeto dla literatury wartościowym umysłem, kryształem nie nadzwyczajnej wielkości, ale szczególnego i pięknego kształtu jest Bolesław Prus.

Bardzo wcześnie zdradzał jakąś oryginalność, której niepodobna było określić, która jednakże znamięnowała umysł niepospolicity.

(W zbiorze „To i owo“)... zabarwił się czasem kwiatem dowcipu, który dla ważnego wzroku świadczył, że z gruntu tego wyrosnąć mogą kiedyś piękne i oryginalne postacie humoru.

Zarysował się (w pierwszych utworach) jako znakomity nowelista, tj. twórca krótkich powiastek, zawierających myśl głębszą, opartych w ramy kunsztownego i szczerzego humoru.

Prus tedy, prawdziwy Meissonier nowelistyki naszej, stał się dla dziennikarstwa siłą pierwszorzędną, nieoszacowaną, a zarazem uprawia z zamiłowaniem tę niwę, na której wyrastały bujne wawrzyny. O szerokie malowidła się nie kuśił i poprzestawał na małych, w których rzeczywistość doszedł do wysokości mistrzostwa. Niektóre z tych pięknych klejnotów przeszły do literatur zagranicznych, a jeżeli tam nie oceniono ich należycie, to

Krytyk zarzuca autorowi: cyniczne wyparcie się jakiegokolwiek celu w pracy, bezmyślne blaznowanie, nieumiejętność zrobienia planu, nieudolność przedstawienia charakteru, organiczny wstręt do wielkich idei, nareszcie kłamliwość z powodu choroby fantazyj.

Pisze „fałsz za fałszem“ — „arcydzieło oszczerstwa, czy lekkomyślności.“

Na jakiej zasadzie p. S. obdziera mnie, już nie tylko ze wszelkich idei i przekonań, nie tylko robi mnie człowiekiem chorym na umysł, ale jeszcze osmiela się awansować mnie na członka partji konserwatywno-liberalno-arystokratyczno-demokratycznej itd., i robi mnie jakimś publicznym „bawicielem“, rozzajem cyrkowego clowna?

Rzucając na mnie oszczerstwa i jednocześnie obspując je komplementami, z których żartuje sobie, p. S. widocznie przypuszczał, że i mnie zabraknie odwagi do spojrzenia mu w oczy. P. Świętochowski jest krytykiem w wysokim stopniu lekkomyślnym, który bez żadnej ceremonii zarzuca ludziom nie tylko to, czego nie zrobili, ale nawet wmawia w nich występki, wprost przeciwne ich najświętszym zasadom, które wy-

tylko dlatego, że wystąpiły one nie licząc i że w przykładach zatarły się przepyszne, dla cudzoziemców niezrozumiałe barwy miejscowe.

Śmieje się on nie wtrącając, ale sercem; nie kąsa, nie szarpie, nie zagryza, nie napuszcza zadanych ran żółcią, nie wypuszcza strzał zatrutych, lecz sadza swą ofiarę na krześle połączonym z baterją elektryczną i przepuszcza zrecznie prąd, wykrzywając nim mięśnie twarzy i członki w sposób zabawny.

Jest on nie tylko opowiadaczem zabawnym... ale także pisarzem niezmiernie dowcipnym, może najdowcipniejszym we współczesnej literaturze naszej. Mlewa chwile szczęśliwe, w których najślusniej mierz się może z Dickensem lub Thackerem. Dickens nie uniały pyszniej splatać śmiechu z smutkiem.

W utworach swoich zjednywa serca czytelników przede wszystkim dla istot małych, ciemnych, upodlonych, sponiewieranych.

„Powracająca fala“ jest nadzwyczaj wyrazistym, a w literaturze naszej może najwyrazistszym odmalowaniem męczeństwa pracy w niewoli w kapitału... W ruchu umysłowym i społecznym, płynącym dziś szeroko z tego źródła, Prus poniekąd wyprzedził u nas dowódzenia teoretyczne i działalność praktyczną.

W najdziwniejsze ośnowy wpłata tyle świeżych spostrzeżeń i szczegółów realnych, że jego zmyślenie mieni się ciągle znamionami prawdy.

Heine dowcipnie opisuje w „Buch Le Grand“ swoje lata szkolne, ale i humor Prusa ma (w „Grzechach dzieciństwa“) bliski odświeżający.

Umie on mistrzowsko nadąć życie i potęgę istotom i rzeczom najdrobniejszym.

Drobne obrazy w czterotomowym zbiorze stanowią życiowe uplastycznienie jakiejś myśli lub spostrzeżenia.

Te niezmiernie proste ramy („Anieli“) obejmują jeden z najpiękniejszych obrazów powieściowych, jakie posiada nasza literatura... Niektóre sceny, czy to tryskające prawdziwym humorem, czy to oddychające głęboką rzewnością, są nakreślone genialnie... To pomysły znakomite, w wykonaniu mistrzowskim.

Oprócz Sienkiewicza w „Szkicach węglem“, nikt nie zajażył w duszę polskiego chłopca tak głęboko, nikt z niej nie wydobyl takiego źródła brutalstwem pomęczonych, ale zdrowych uczuć, nikt tak nie wypatrzył krętych dróg jego myśli, nikt tak nie poznał dziwnego biegu jego logiki, źródła upodobań i wstrętów, jak Prus (w „Placówce“). Tego nie osiągnęłoby najdłuższe i najskrupulatniejsze badanie, taką wlede postać może tylko intuicja wielkiego talentu.

Ponieważ Prus jest mistrzem szczegółów, więc w tych drobniactwach (wątku „Lalki“) sygnalizuje pod piórą perły sztuki. Nie jest to filozof, uczo-ny, głęboki myśliciel, oryginalny reformator; ale jest to świetny humorysta z genjuszem, poeta nizin życia i drobnych żyjątek, zatopionych w morzu społecznym, mistrz

pełniał. Zresztą p. S. chcąc zrelizować i zniesławiać mnie, doskonale scharakteryzował siebie.

Dla p. S. wyrazy i zdania utraciły już znaczenie, więc nawet wówczas, kiedy depcze i piętnuje nie kogoś, nazywa to „wielkiem uznaniem“ i „szczerą sympatją.“

P. S. podjął się być moim profesorem kompozycji i to profesorem surowym.

P. S. nie zna elementarnych zasad kompozycji literackiej, o ile ta może być traktowana naukowo. Pomimo to przybiera wobec autora ton nauczyciela przemawiającego do żaka, który nie przygotował się na lekcję. Stawia zarzuty albo niedorzeczne, albo fałszywe. Robi zaś to tak złośliwie, że można by go posadzić o chęć zdyskredytowania autora nie tylko u publiczności, ale nawet u wydawców.

Jestem pewien, że pisząc te brednie, p. S. ani pomyślał, co będzie, jeżeli go zapytam itd.

Cele mojej pracy literackiej podjął się „wszechstronnie“ otaksować p. S. nie w tym celu, aby zreżumować, co zrobiłem, a czego zrobić nie mogłem, ale ażeby pod pokrywką śmiesznych komplementów odsądzić mnie od czci i wiary.

Szanowny krytyk wprawdzie nie rozumie mojej generacji, ani mojej młodości, ale pisze o niej, ażeby nazwać mnie złośliwcem i zawczasu ubrać w „czapkę z dzwonkami.“ On nie wie, na czym polega humor, ale sądzi o tem, ażeby mi narzucić bezcelowe blaznowanie. Wspomina o „Kronikach“ nie po to, ażeby wykaazać ich związek z bieglem naszym życia społecznego, lecz żeby zakwalifikować mnie do

obrazków drobnych i postaci maluczkich, dostojnik literatury, a nie protegowany faworyt jakiegoś pisma, nie bohater chwili, znika-jący i zapomniany po ostatnim oklasku przyjaciół. On w piśmiennictwie zostanie i na długo zostanie z wielkim swoim talentem i z czułym sercem.

„wymiatania rymszków i oczyszczania podwórek.“ Mówi o powieściach, chociaż nie ma pojęcia o ich kompozycji, dlatego, ażeby odradzić mi pisanie większych powieści. Podobny kubek pomysł mógł mi wylać na głowę tylko krytyk tego fasonu, co p. Świętochowski.

Jakkolwiek wykrzyki, skargi i impertynencje p. G. nie zawsze są bezpośrednią odpowiedzią na moje, zestawione obok nich zdania, sądzę jednak, że te dwie kolumny słów uwydatniają kontrast tonów, usprawiedliwiają zdziwienie, które nie mnie tylko ogarnęło i rozstrzygają w zasadzie pytanie: czy krytyk, który tyle i tak wysokich szczytów przyznał autorowi, mógł jednocześnie chcieć go zniesławiać i zniesławiać?

Zobaczmy to wyraźniej w sprawdzeniu szczegółów.

(D. c. n.).

A. Ś.

## KRONIKA.

### Słuszne żądanie.

Robotnicy fabryki Bleszno pod Częstochową podali w tych dniach do zarządu fabrycznego prośbę o przekształcenie istniejącego sklepu spożywczego, który jest instytucją patronalną (założoną przez fabrykantów i znajdującą się pod ich wpływem) na stowarzyszenie spożywcze, prowadzone przez samych najemników. Skłania ich do żądania zmiany ta okoliczność, że w istniejącym sklepie ceny towarów są daleko większe, niż gdzieindziej, skutkiem czego robotnicy, kupując w nim artykuły spożywcze, nie tylko nic nie zyskują, lecz jeszcze tracą i wolą go omijać, a udawać się po sprawunki do odległego o 3 wiorsty miasta. Żądania robotników mają za sobą nie tylko słusność, lecz także są zupełnie legalne i powinny uzyskać zadośćuczynienie. Fabryka w Blesznie należy do Hillego i Dietricha, właścicieli zakładów żyrdardowskich, gdzie jest stowarzyszenie spółdzielczo-spożywcze, założone przed kilku laty z inicjatywy robotników, którzy obecnie stanowią w niem przeważającą liczbę akcyonariuszów (akcyje 10-rublowe). Idzie więc teraz o to, żeby patronalny sklep w Blesznie uczynić filją stowarzyszenia żyrdardowskiego.

### Wyższe kursy kobiece.

„Pół-wszechnica“ kobieca, czyli tak zwane „wyższe kursy“, wznowione i zreorganizowane w zeszłym roku, uznaniem, jakie zyskują u słuchaczek, stanowczo stwierdzają potrzebę wyższego wykształcenia kobiet. Ze sprawozdania za ubiegły rok szkolny widać, iż wszystkich słuchaczek przyjęto 144, w tej liczbie 107 na oddział historyczno-filologiczny i 37 na fizyczno-matematyczny — tylko z tych dwóch wydziałów kursy są złożone. Według wyznania, klas społecznych i stanu cywilnego — słuchaczki klasyfikowały się w następujący sposób: wyznania prawosławnego było 130, rzymsko-katolickiego 6, luterńskiego 3, mojżeszowego 5; pochodzenia szlachecko-urzędniczego 111, duchownego 7, kupieckiego 19, mieszczańskiego 5, włościańskiego 2; panien 141, mężatek 2, wdów 1. Z zakładów petersburskiego okręgu naukowego — 80, z innych — 64. Nieco więcej niż połowę dostarczały kursom znajdujące się w samym Petersburgu — 175, resztę 69 — zamiejscowe, ze wszystkich krańców Rosyi: z Rostowa nad Donem, Ekaterynodar, Władykaukazu, Tyflisu, Tomsku, Krasnojarska, Jenisejska! Świadczy to wymownie o wzmagających się dążnościach wśród kobiet ruskich do uniwersyteckiego wykształcenia. Z całej liczby 144 słuchaczek zapisanych



w zeszłym roku na kursy tylko 4 na własne żądanie zostało na I-ym kursie na drugi rok, reszta zdała egzaminy przejściowe bardzo zadawalająco. W obecnym roku szkolnym podało prośbę o przyjęcie aż 110 kandydatek, z których tylko 101 otwarto gościnne podwoje. Jak i w przeszłym roku, na wyznaczenie prawosławne przypadło 92, na klasy uprzywilejowane — 70.

Przy kursach, jak wiadomo, dla słuchaczy, niemających w mieście rodziców, krewnych, mężów, ani opiekunów, ustano- wione są internaty, w których łatwiej mo- żna roztoczyć dozór nad konduktą. Studen- tki mogą odbierać wizyty, ale nieinaczej, jak z warunkiem, że odwiedzający i odwie- dzające wpiszą swoje nazwiska do specyal- nej księgi kontroli, same zaś odwiedziny dopełniane są w stosownej poczekalni.

#### Z s ą d n.

Dotknięta artykułem W. Sułkowskiego, za- mieszczonym w *Głosie* p. t. „Gospodarka szpi- talów warszawskich,” Rada miejska dobroczy- ności publicznej, której zarzucono niedokładne rachunki, zaskarżyła redaktora i autora o dy- famację. Sprawa jednak co do swej istoty, mia- nowicie co do zasadności zarzutu nie została roz- strzygnięta, gdyż p. Sułkowski, przebywający w Krakowie, nie stawiał się w sądzie, a p. Poto- ckiego z winy zamieszczenia artykułu usprawie- dliwiono.

**Sprawy społeczne.** W dn. 13 b. m. w departamen- cie cywilnym senatu w Petersburgu rozpoznawana była głośna od lat 14-tu ciągnąca się sprawa o milionowe dobra po książętach Wiśniowieckich. Senat odrzucił skargę kasacyjną hr. Włodzimierza Broel-Platera. Wi- śniowice przechodzą ostatecznie do rąk kupca kijow- skiego de Polli.

— Według danych urzędowych w gub. wołyńskiej było r. 1865 w posiadaniu rosyjan 167,000 dziesięcin ziemi, polaków — 2,776,000, żydów 30,000 dziesięc., Niemcy nie mieli. W r. 1887 własność ruska wy- nosiła 865,000 dzies., polska 1,162,000, żydowska 42,000, niemiecka 242,000 dzies.

— Na dochód niezamożnych studentów Instytutu Weterynaryjnego odbył się w Warszawie koncert.

— Petersburgskie towarzystwo techniczne zajęte jest obecnie przygotowaniem się do prób (które się od- będą w przyszłym miesiącu pod Petersburgiem) z la-

tawcami zastosowanymi do celów wojskowych dla te- legrafowania w nocy. Na powierzchni latawca umie- szczona latarka elektryczna, złączona drutem z baterią, będzie dawała krótsze lub dłuższe światło, z czego się utworzy alfabet telegraficzny.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że jeden z kup- ców zapłacił za kwit rekrucki dla swego syna 25,000 rs.

— W pierwszych dziewięciu miesiącach r. b. wy- emigrowało z Poznańskiego 9,000, a z Prus zachodnich 7,715 osób.

— W Czersku (Prusy zachodnie) powstało Towarzy- stwo rolnicze ludowe, którego zarząd objęli właściciele.

**Szkoły.** W uniwersytecie warszawskim wydział lekarski liczy obecnie 612 studentów, fizyczno-matema- tyczny 143, najmniej filologiczny: 53. Ogółem wszy- stkich studentów 1,335, w tej liczbie 243 prawosła- wnych, 864 katolików, 40 ewangelików i 188 żydów.

— Od nowego roku powstaje w Warszawie 14 szkół elementarnych: 10 męzkich, 4 żeńskie. Etat: dla mę- zkich po 1,140 rs. rocznie, dla żeńskich po 1,050 rs.

— W Białymstoku powstaje trzyklasowa szkoła te- chniczna ze składki fabrykantów.

— W tych dniach na ogólnym zebraniu Senatu roz- poznawana była kwestya: czy miasto albo ziemstwo ma prawo zamykać szkołę z powodu braku środków na jej utrzymanie, jeśli tylko ona korzystała z zapomo- gi społecznej? Senat rozstrzygnął potwierdzająco.

— Katolickie seminarium nauczycielskie w Brzegu, założone dla dostarczania nauczycieli W. Ks. Poznań- skiemu, będzie zamienione na protestanckie.

— Na uniwersytet krakowski zapisało się w r. b. 1,190 słuchaczy.

— Galicja ma 26 gimnazjów klasycznych z 12,555 uczniów, szkół realnych 3 z 1,050 uczn. Od r. 1875 w pierwszych liczba uczniów podniosła się przeszło o 50,00, w drugich zniżyła się o 150.

**Przemysł i handel.** Ministerium skarbu wydało roz- porządzenie, aby konsulowie ruscy za granicą nadesłali wszystkim krajowym Towarzystwom rolniczym próbki ruskiej pszenicy i współzawodniczącej z nią zagranic- nej w takim stanie, w jakim się sprzedaje na rynkach zagranicznych, jak również próbki maki dla porówna- wczego zbadania.

— Na ostatnim zjeździe przemysłowców żelaznych uznano za rzecz konieczną zaprowadzić system, ułatwia- jący tanie kredyty i usuwający wiele przeszkód w roz- woju tej gałęzi przemysłu.

— Zawiązane w Holandyi towarzystwo do spółki z kapitalistami ruskimi stara się o monopol tytoniowy w Rosyi na lat 10.

— P. Maryan Gorzkowski otwiera w Samarkan- dzie kantor komisowy z filią w Warszawie.

— Kupcy francuscy postanowili otworzyć w Paryżu wielki jarmark na wełnę, celem współzawodniczenia z takimi jarmarkami w Londynie i Amsterdamie.

**Komunikacye.** Telefon między Paryżem a Wiedniem otwarty będzie w początkach stycznia r. p.

— Między Nowym Yorkiem a Chicago będzie zapro- wadzona komunikacya pocztowa za pomocą ścieśnio- nego powietrza.

**Konkursy.** *Ziarno* ogłosiło konkurs na nowelę z na- grodą 100 rs. Termin nadsyłania 1 lutego 1891 r.

— Ministerium dóbr państwa urządza konkurs na wynalezienie pleca, przedstawiającego wszelkie bezpie- czeństwo przy używaniu sukny na opał.

**Wystawy.** Zapowiedziana na luty i marzec r. p. w Moskwie wystawa środkowo-azyatycka obejmować będzie następujące działy: 1) bogactwa naturalne Azji środkowej w stanie surowym i obróblonym; 2) histo- ryczny; 3) archeologiczny i etnograficzny; 4) naukowy; 5) przedmioty wwożone; 6) wyrobione w Rosyi euro- pejskiej z materiałów środkowo-azyatyckich. Ostatni zjazd przedstawicieli ruskich kolei żelaznych postano- wił dla tej, jak również dla wystawy wyrobów francu- skich zniżyć przejazd wystawcom o 50%.

— Wystawa geograficzna, urządzona w New-Yorku przez Instytut Brooklina, z powodu nadmiernej liczby zgłaszających się otwartą będzie dopiero 1 stycznia r. 1891.

**Zdrowie publiczne.** Rada państwa na wniosek mi- nisterium dóbr uznała za właściwe zabronić fabrykacyi margaryny w zakładach wytapających tłuszcze, tudzież ustanowić karę do 305 rs. z zamianą na areszt i konfi- skatą produktów, stosowaną do tych, którzyby marga- rynę sprzedawali jako masło naturalne. Wyrób tego produktu podlegnie kontroli rządowej i będzie obłożo- ny odpowiednim podatkiem akcyzowym.

**Wiadomości administracyjne.** Wypracowany przez ministerium spraw wewnętrznych projekt prawa o pod- danych zagranicznych, między innemi obejmuje przepis, że ci z kwalifikujących, się do wydalenia z granic pań- stwa cudzoziemcy, którychby właściwe rządy przyjąć nie chciały, mają być wysłani drogą administracyjną na mieszkanie w gub. tobołskiej i tomskiej.

— W Suwałkach powstaje nowe pismo prowincyo- nalne.

**Zmarli.** Karol Feyerer, współredaktor wiedeńskiej „Presse.”

— Dr. Maks Burlan w Wiedniu; adwokat i publi- cysta.

## O G Ł O S Z E N I A.

Nakładem księgarni G. Centnerszvera, Marszałkowska 147, wyszły z druku:

**Kalendarz Księgarsko - Literacki na rok 1891 — kop. 20.**

**Mazanowski, Stosunki i wzajem- ne sądy Mickiewicza, Słowac- kiego i Krasińskiego — k. 80.**

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

### P. A. KRZYMIŃSKI SKŁAD WIN

od roku 1829 egzystujący

w Warszawie, ulica Wierzbowa № 3, dom hr. Krasińskiego  
*Wina lecznicze, Koniaki prawdziwe poleca.*

**Nowelle A. L. Kiellanda**

Paryż, 1890. Cena kop. 15.

Skład główny w księgarni G. Centnerszvera.

### Wydawnictwa „Prawdy.”

**J. Brandes. Główne prądy literatury XIX w., tomów cztery, tom K. Lewald — rs. 6.**

**Ekonomia polityczna według najznakomitszych ba- daczów niemieckich ułożona — rs. 3.**

**L. Liard. Logika, tom K. Lewald — rs. 1.**

**A. Espinas. Społeczeństwa zwierzęce, wraz z doda- tkiem ogólnych dziejów socjologii — rs. 3.**

*Uwaga.* Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny. Na ko- szta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

**E. Taylor. Zmyślność i moralność roślin (w opra- wie) — rs. 1 k. 50.**

**L. H. Morgan. Społeczeństwo pierwotne, czyli bada- nie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Ba- kowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).**

**J. Barni i A. Krzyżanowski. Męczennicy myśli (w o- prawie) — rs. 1.**

**W. Okoński. Dramaty (Antea, Na targu, Helvia, Pod- danka, Błazen, Za maską) — rs. 1.**

— **O życie, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug. Damian Capenko — k. 50.**

— **Klemens Boruta, powieść — k. 40.**

— **Niewinni, dramat w 3 aktach — k. 80, z prze- syłką rs. 1.**

**Dr. Azam. Charakter w zdrowiu i w chorobie — rs. 1.**

**N. Hirszbard. Byron w urywkach — rs. 1 kop. 20**

**z przesyłką rs. 1 k. 25.**

**Dr. F. Rajkowski. Poradnik lekarski wraz z apteką domową (w oprawie), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.**

**K. Lewald. Historia XIX w. od r. 1800—1888 — rs. 3**

**k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.**

**E. B. Tylor. Antropologia z ilustracyami, w przekła- dzie A. Bakowskiej — rs. 2., z przesyłką poczt-ową rs. 2 kop. 25.**

### Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

**Brandes Jerzy.** Główne prądy literatury europej- skiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Fran- cyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 2.

**Chmielowski Piotr dr.** Autorki polskie wieku XIX, studium literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.

**Gumplowicz L.** System socjologii — rs. 3 k. 30, z prze- syłką rs. 3 k. 60.

**Prus Bolesław (Aleksander Głowacki).** Szkice 1 o- brazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

**Smoleński Władysław.** Drobną szlachtą w Kró- lestwie Polskiem, studium etnograficzno-społeczne, str. 66 — k. 60.

**Świałko,** książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej opra- wie z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1 kop. 80.

**Henryk Heine.** Wybór pism, tom I-y — rs. 1 kop. 20.

**Biuro i ekspedycya Spółki Nakładowej: Warszawa, Marszałkowska, nr. 95.**